

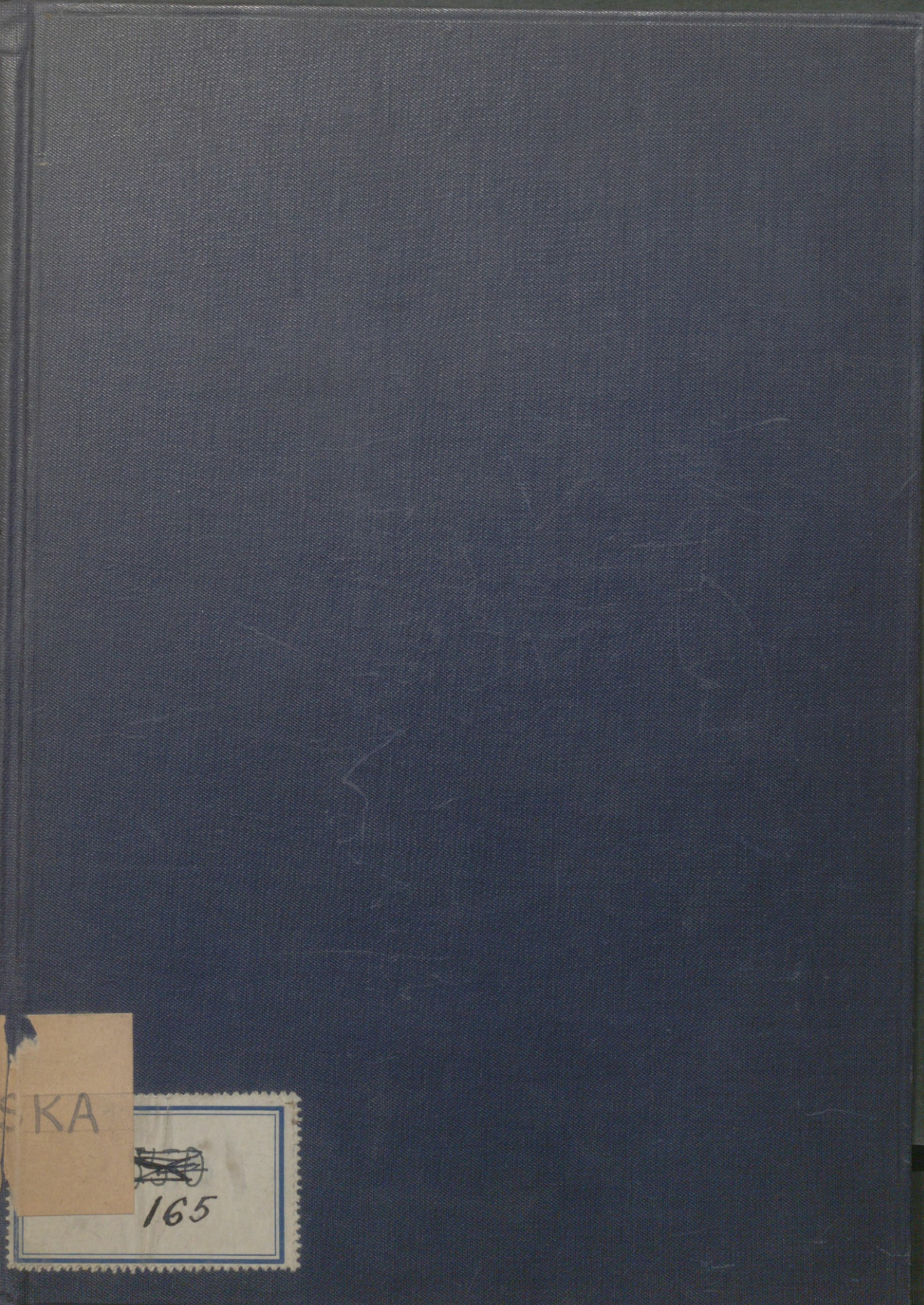
Grey Scale #13



Part Code
ST1316

DANES
-PICTA
.COM

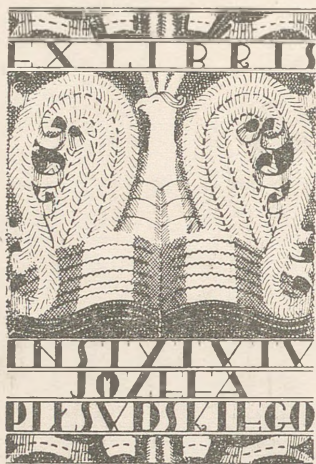
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



KA
165



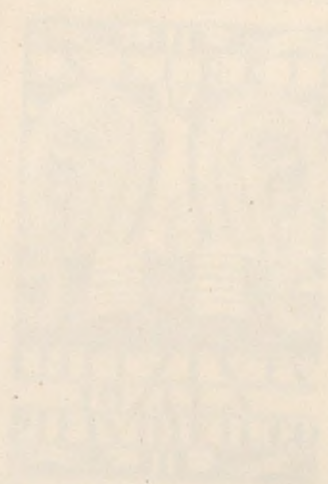




B

B
165

Eigentum
Heeresarchiv - Zweigstelle
Danzig
E-~~354~~ 550 120



ARMJA POLSKA WE FRANCJI

W ŚWIETLE FAKTÓW.

Eigentum
Heeresarchiv - Zweigstelle
Danzig

00 13.11

11.11

Inwentaryzacja

ARMJA POLSKA WE FRANCJI

W ŚWIECIE FAKTÓW

WOJSKO POLSKIE

Sztab Generalny Oddz. II.

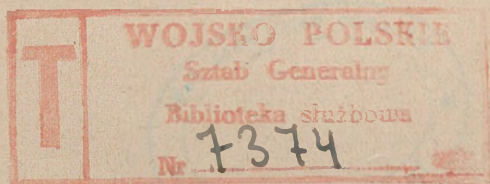
Biblioteka

Nr. 665

NAKREŚLIŁ ZE SWEGO PAMIĘTNIKA

WINCENTY SKARZYŃSKI

copy 2.



WARSZAWA — 1929

Tłoczono w Zakładach Graficznych Straszewiczów — Leszno 112.

Inwentaryzacja
1954

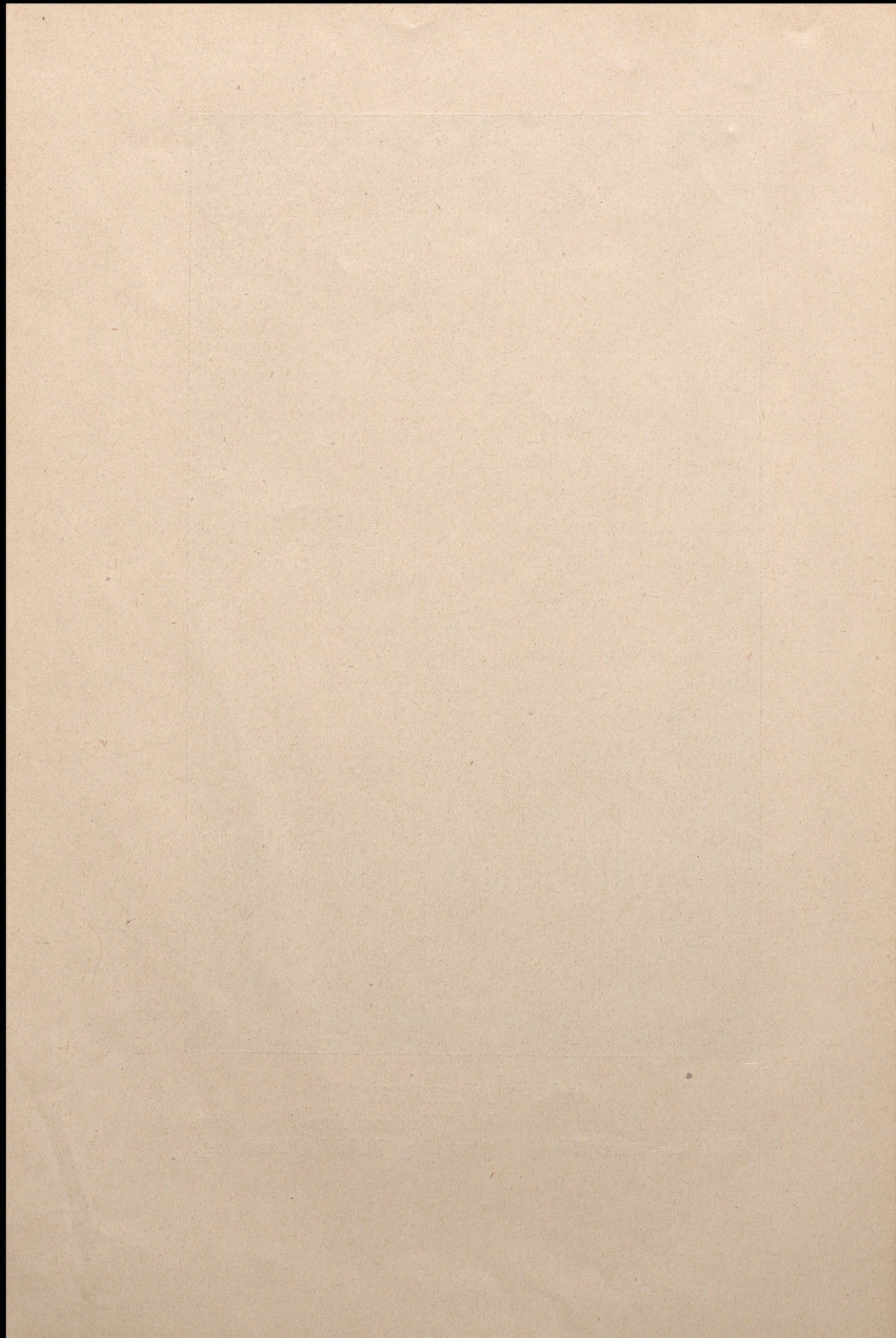
572 / II





JÓZEF PIŁSUDSKI

*Pierwszy Marszałek Polski, Twórca Armji Polskiej,
Wódz Narodu, Wielki Budowniczy Polski Odrodzonej.*



PRZEDMOWA.

Rywalizacja handlowa anglo-niemiecka, naturalny rozkład przebiurokratyzowanej Austrii, upadek petersburskiego Caratu, równowaga polityczna Europy, Traktat Wersalski... Czy to wszystko? Nie. To tylko konjunktury zmienne i wypadkowe, to tylko sytuacja na szachownicy dziejów w chwili, gdy partja została wygrana dla Polski.

Przez kogo? — Przez Skarzyńskich. Tym statym, istotnym, niezawodnym czynnikiem Zmartwychwstania Rzeczypospolitej i Jej Odrodzenia — byli i są tacy, jak Skarzyński, z ich troską nadewszystko o Polskę, z ich zatajoną ambicją służenia Polsce, z ich mistyczną i żywiołową tęsknotą za Polską — praktycznie mądrą międzynarodowo sprawiedliwą, dziejowo wielką.

Wygnaniec — wychodźca, legjonista — żołnierz, to on — od Mickiewicza do Piłsudskiego — czy to „z ziemi włoskiej“, czy też z kopalń Pennsylvanji, z nad jezior Kanady, z tajg Syberyjskich, z Murmańskich wybrzeży oceanu Lodowatego, z limanów Odeskich — to zawsze ten sam, zawsze dążący do ziemi polskiej — ponad głowami niezdecydowanych polityków, po przez intrygi natrętnych pośredników-karjerowiczów, wbrew hańbie partyjnictwa i sztucznego rozczłonkowania żywego żołnierza polskiego na poszczególne formacje.

Armja polska we Francji, zapoczątkowana na terenie Ameryki, była wyrazem właśnie takiego żywiołowego dążenia wychodźstwa polskiego — do ziemi polskiej w duchu historycznych tradycji legjonowych.

I w tem tajemnica Zmartwychwstania Polski — która nigdy nie umarła w sercach Polaków.

Skarżyński — „hallerczyk“... tak samo, jak i legjonista I Brygady, rzuca on „życia los — na stos“; życie jego — to splot więzień politycznych, włóczęgi na wychodźstwie, pracy i służby obcej — tak samo jak to bywało z tak wielu innymi bojownikami o niepodległość.

Różni się jednak od poprzedników swoich. To nie zapaleniec 18-letni, który do wojenki rwie się jak do dziewczyny, któremu wojenka ta dopiero otwiera horyzonty szerokiego świata. Nie jest to też rozbitek życiowy, sterany tułaczką, poniewierany przez obcych emigrant-powstaniec. Nie. Skarżyński — to nowoczesny Polak, świadomy walorów swej rasy, znający tych walorów cenę na rynku międzynarodowym. Do „Tygrysa Francji“ bez ogródek powiada: „Panie Clemenceau — ale San Domingo się nie powtórzy!“ Zaliż nie w tej samej myśli Komendant odmówił przysięgi kajzerowi? I tem nie dając Niemcom na mięso armatnie legjonów swoich.

I w tem druga tajemnica Zmartwychwstania Polski — ani San Domingo, ani „Bartek-Zwycięzca“ już się nie powtórzyły.

GRZEGORZ PIOTROWSKI,

Komandor Rez. Polskiej Marynarki
Wojennej.

Słowo wstępne.

Liczba polskich źródłowych publikacji o Wielkiej Wojnie jest stosunkowo mała; nie posiadamy historycznych dzieł, dotyczących się tego okresu, jakie mają Francuzi lub Niemcy. Ukazało się wprawdzie kilka książek, omawiających ową epokę, są to jednak przeważnie oświetlenia wypadków dziejowych z punktu widzenia poszczególnych ugrupowań politycznych. Rozrzucone w tych pracach nawet głębsze uwagi i sądy, nie poparte jednak odpowiednimi dokumentami, są w rzeczy samej rozprawami politycznymi, albo osobistymi polemikami partyjnymi, ukazującymi się masowo w ważnych chwilach dziejowych, i idą w zapomnienie po krótszym czy dłuższym pojedynku dyalektycznym, powiększając cmentarzyska składów bibliotecznych.

Do pierwszego typu dzieł źródłowych, do najwybitniejszych, tak pod względem treści, jak i układu, książek polskich o Wielkiej Wojnie należy postawić J. J. Sosnowskiego „Księgę Prawdy Dziejowej”. Niestety, los tej książki był podobny do losu jej autora. Niedocenienie wartości i niedostateczne zainteresowanie się tematem w jakich warunkach powstała nasza niepodległość państwowa, do dziś dnia trzymając w zawieszeniu odpowiedź na pytanie: czy naprawdę wskrzesicielami naszej niepodległości były urzędowo i powszechnie przyjęte

„firmy“, czy też autor „Prawdy Dziejowej“, nieuzależniony od nikogo, szermierz niepodległości Polski, nie miał słuszności, wykazując właściwą rolę owych firm — jako kauczukowych pieczętek.

Poza tem istnieje już u nas znaczny szereg pamiętników i wspomnień, napisanych przez uczestników i naczynych świadków przeżytych bojów i zdarzeń. Jest to bezwątpienia bardzo ważny dział dla wszelkich badaczy przeszłości i tem cenniejszy dla nas, że, rozdzieleni na zabory, rozrzućeni po wszystkich kątach świata, wszędzie na swój sposób, patrjoci polscy starali się przyczynić do zbudowania niepodległości Ojczyzny. Zwłaszcza interesującymi pod każdym względem są wspomnienia z czasów wojny tych, co znajdowali się poza jej geograficznemi granicami, lub tych, którzy byli losem rzućeni w odległe kraje, ponieważ byli oni w możności wielokrotnie zachować trzeźwy umiar i obiektywny sąd o współczesnych wypadkach, nie poddając się hypnozie nie-szczęśnych orjentacji, jakie rozdzierały Polskę na obozy Ententy i Mocarstw Centralnych.

Dzielenie się społeczeństwa polskiego i dzielenie jego przez przywódców na dwa odłamy, było tragiczne w swem zaślepieniu, ponieważ żadna strona nie opierała się na polskiej racji stanu, lecz na obcych, zasadniczo wrogich dla Polski, interesach; żadna nie pochodziła z głębin ducha polskiego, żadna nie polegała — jak przystało wielkiemu Narodowi — na aktywnej, wypadowej działalności, żadna nie budowała swoich planów politycznych na przeświadczeniu o swej wewnętrznej sile, żadna nie czerpała otuchy i wiary z natchnień filozofji narodowej, żadna nie umiała się wyrwać z duszącego jarzma obcej psychiki, z koncepcji politycznych mocarstw zaborczych, żadna nie umiała stworzyć zaczątków rzeczywiście pol-

skiej państwowości; obydwie odłamy polityczne posługiwały się, ażeby zapisać pustkę planów budowy państwa niepodległego, płytkim machjawelizmem przedwojennym, obliczonym chyba na naiwność przeciwników — obydwie strony dążyły do minimalnych korzyści.

Bierność mas, zawsze patryotycznych, jednak zupełnie nieprzygotowanych do wypadków światowej doniosłości (upadek niewoli), uczyniło masy te powolnymi w rękach przywódców, żonglujących najszczytniejszymi ideałami, dla wywyższenia swych osób na piedestał bohaterów narodowych. Jeden tylko Marszałek Piłsudski, wraz z garścią niepodległościowców, wówczas w opinii ogółu Polaków — szaleńców, uważał czyn zbrojny Polski za konieczność logiki dziejowej w chwili, kiedy przepowiedziana przez Mickiewicza „Walka Ludów Rozgorze“, fizycznie jednak będąc skrępowany, musiał, niestety, liczyć się z warunkami, narzucanymi przez Mocarstwa Centralne, tem więcej, że ogół społeczeństwa polskiego w początkach wojny był Piłsudskiemu nieprzychylny.

Jeżeli podnieśliśmy na początku „Księgę Prawdy Dziejowej“ J. J. Sosnowskiego, to uczyniliśmy to dlatego, ponieważ jest to radosny i wyjątkowy dowód zupełnie bezstronnego i naprawdę polskiego ujmowania spraw politycznych w chwilach zmagania się Mocarstw o wolność narodową, jaką przepowiedział w jasnowidzeniu proroczem nasz wieszcz.

W tej samej płaszczyźnie jest napisana książka pod tytułem „Armja polska we Francji w świetle faktów“. Jest to krótkie, skromne opowiadanie, nakreślone z pamiętnika żołnierskiego — epizod rozlicznych przeżyć bojownika wolności, Wincentego Skarżyńskiego. Autor nie ma pretensji do rzucania pompatycznych tez, lecz szczerze ukazuje nam żar, jaki palił jego serce na myśl, że

bić się o Polskę nie jest już mytem i absurdem, lecz istotną treścią wykuwania niepodległości państwowej. Autor pamiętnika ukazuje przed nami zupełnie dotychczas ogółowi polskiemu nieznane szczegóły, dotyczące Armji Polskiej w Ameryce, później nazwanej „Armją Polską we Francji“ lub popularnie „Armją Hallerowską“.

Autor, za chłopięcych swych lat, prototyp „Syzyfowych Prac“ Żeromskiego, nieustraszony bojownik w pierwszych przedwiośniach wyzwolenia z lat 1905—1906, wyrosły w atmosferze patriotycznej rodzinnego zaścianka, karny Sokół od zarania swej społecznej działalności, uciekwszy z zesłania, t. j. Sybiru, do Ameryki, tutaj w twardej szkole życia krystalizuje swój charakter i, jako urodzony żołnierz, przechodzi szkołę fachowego doświadczenia wojskowego w amerykańskiej i angielskiej armji. „Sokół“ jest dla niego zawsze ogniskiem organizacji narodowej i najlepszą ostoją dyscypliny społecznej, tutaj też znajduje w rozstrzygającej chwili najsposobniejszy materiał do kadr Armji Polskiej.

W pracy swej doznał wiele sprzeciwiań, przede wszystkim i prawie wyłącznie ze strony swych współziomków, nie tyle dla braku entuzjazmu ich dla sprawy narodowej, jak raczej z powodu gaszenia tego entuzjazmu przez koła związane z Komitetem Narodowym w Paryżu dla względów t. zw. „Wielkiej Polityki“, nieraz wręcz przeciwnej zdrowemu instynktowi żołnierza polskiego. To trzymanie się kurczowo obcej polityki chciało zmrozić młodą armję naszą już na samym wstępie na ziemię francuską, kiedy Roman Dmowski zapytał autora: „Pocście tu przybyli?“ A kiedy zaczęły się gromadzić, jak koło magnesu, jeńcy z obozów Mocarstw Centralnych i ochotnicy z dalekiego Murmanu i nie można było zgasić tej fali zapалу wojennego Polaków dla ojczyстей

sprawy, objawiającej się czynnie po obu stronach frontu wschodniego w marszu drugiej Brygady i formacjach polskich w armji rosyjskiej, zakończonych organizacją Armji Dowbora, — wówczas Komitet Narodowy, odrzucając ideę, jaka kierowała właściwym twórcą tej armji w Ameryce, postarał się śpiesznie przytwierdzić na niej etykietę partyjną.

Opis przybycia statku amerykańskiego z pierwszym bataljonem jest naprawdę wzruszający, niemniej uderzają czytelnika swą energją sceny z frontu francuskiego i tragedia bezowocnego czekania Armji Polskiej powrotu do Ojczyzny przez Berlin lub Gdańsk. Powitanie wysłanników ówczesnego Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego przez Generała Hallera jest końcowym epizodem wspomnień i jest jakby symbolem scalenia się wojskowego i politycznego odradzającej się Rzeczypospolitej, dla której przelewała się krew polska na wszystkich frontach gigantycznych zmagani, dla której popłynęła krasnym strumieniem w bohaterskiej obronie Lwowa i Warszawy.

Autor starał się pozostawać zawsze w ukryciu, nie wysuwał dla zaszczytów i honorów swej osoby — to też nie umiano, czy nie chciano go poprzeć... z pewnością jednak zyskał jedno pewne przekonanie, że służył Ojczyźnie według wszystkich swych sił i to przekonanie starczy mu za wszystkie nagrody ludzkie. W takich razach spowiedź żołnierska, choćby publiczna, jest potrzebą duszy — zrozumiałą przez każdego, kto umie odczuć szczerłość słów ziomka i potrafi, wsłuchawszy się w tętno wielkich wypadków dziejowych, odczuć bicie serca bliźniego.

Dr. M. Natęcz-Dobrowolski.



W. SKARZYŃSKI
w mundurze polowym Armji Stanów Zjedn. Północnej Ameryki.

Armja Polska we Francji

W ŚWIEŹLE FAKTÓW.

Marzeniem mojem z lat dziecinnych było wojsko. Zawsze i wszędzie szukałem sposobności zdobycia wiedzy wojskowej dlatego, ażeby w odpowiedniej chwili stanąć jako doświadczony żołnierz do walki z wrogami mojej uciemiężonej Ojczyzny. To też, gdy po różnych przejściach, więzieniach, zesłaniach i t. d. dostałem się na ziemię amerykańską, wstąpiłem podczas kampanji meksykańskiej, jako ochotnik, do służby w regularnej armji Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki. W r. 1913 kończyłem tę ochotniczą służbę wojskową w Eagle Pass, w stanie Texas, nad rzeką Rio Grande, na granicy Meksyku i Stanów Zjedn. Półn. Ameryki. Powodziło mi się niezgorzej, nigdy jednak nie zapominałem o Polsce i o zasadach, jakie wyniosłem z domu rodzinnego. Będąc od 1905 roku Sokołem, pozostawałem wierny jego tradycjom i ideałom, a kiedy w myśl owych ideałów w baterji mojej zorganizowałem Gniazdo Sokole, wybitniejsi działacze Sokolstwa w Ameryce, głównie zaś druh Ryłski, ówczesny naczelnik Związku Sokółów Polskich w Ameryce, wpłynął na mnie, że porzuciłem uśmiechającą się mi wtedy karierę w wojsku amerykańskim i energję swoją skierowałem do roboty organizacyjnej i militaryzacji „Sokoła“. Pracę moją w tym kierunku rozpocząłem



z całym zapalem, poczawszy od Detroit, Michigan, mianowany naczelnikiem Gniazda 79-go i 576-go. Na Zlocie Sokolstwa w Buffalo w roku 1914, będąc delegatem swego Gniazda, stanąłem w silnej opozycji do warchol-
skich zabiegów pro-niemieckich i pro-moskiewskich, usiłujących w łonie społeczeństwa polskiego za Oceanem siać jad nienawiści i wzajemnych oskarżeń. Uważałem ludzi z obu odłamów tych nieszczęsnych „orientacyj” za zaślepionych niewolników, kierowanych przez ukryte sprytnie, obce i wrogie polskości organizacje, wrogie wszelkiej prawdziwej idei naszej niepodległości państwowej, a obrałem kadry Sokolstwa dla mej pracy społeczno-politycznej, ponieważ na terenie Ameryki Północnej jedynie organizacja „Sokoła” powstała z rdzenia Narodu. Na wspomnianym zlocie w Buffalo zostałem powołany przez naczelnika Samulskiego do nadzoru nad obozem. W niedługim czasie prezes dr. Teofil Starzyński, pragnąc ożywić Sokole szeregi nowym duchem, zauważywszy snać moje wyrobienie społeczne i wojskowe, przeprowadził w Zarządzie, iż obrano mnie lustratorem Gniazd i Okręgów Związku Sokołów Polskich w Ameryce.

Związek Sokołów Polskich w Ameryce.

Biuro Naczelnika.

Pittsburgh Pa 7 listopada 1914 r.

PEŁNOMOCNICTWO.

Niniejszem upoważniamy druha Wincentego Skarzyńskiego do lustracji Gniazd i Okręgów w jak najobszerniejszym tego słowa znaczeniu i to tak pod względem technicznym (ćwiczeń), jak i administracyjnym (finansowym).

Tak prezesi, jak i naczelnicy tak Gniazd, jak i Okręgów obowiązani są udzielić wszelkich żądanych przez lustratora wyjaśnień i wskazówek.

Polecamy również wszystkim, tak naczelnikom, jak i całej starszyźnie wojskowej, zupełne posłuszeństwo druhowi Skarzyńskiemu, jako specjalnemu zastępcy Związku Sokołów Polskich w Ameryce.

C z o ł e m !

Dr. T. Starzyński,
Prezes.

T. Samulski,
Naczelnik.

Adam Płutnicki.
Sekretarz.

W latach 1914 i 1915 odbywałem przegląd Gniazd i Okręgów na podstawie pełnomocnictw Zarządu Głównego Sokolstwa. Mam wrażenie, że z tej pracy wywiązałem się ku pożytkowi Sokolstwa i ku zadowoleniu swych przełożonych, wzbudziłem jednak, niestety, równocześnie zazdrość w niektórych członkach „Sokoła”, w tych mianowicie, którzy nie pojmowali dostatecznie swoich obowiązków. To było powodem, że nie chcąc wywoływać prywatnych niesnasek, ustąpiłem z zajmowanego stanowiska i osiedliłem się w Pittsburgu w końcu roku 1915. Tutaj pełniłem czynności sekretarza Związkowej Komisji Technicznej, również z całym oddaniem, co musiało wywołać odpowiedni skutek w życiu poszczególnych gniazd sokolich, jeśli jedno z nich, oznaczone numerem 429, chcąc swemu naczelnikowi, to jest mnie, jako artylerzyście armji amerykańskiej, okazać swą wdzięczność, zbudowało armatę na manewry w Mc Kees Rocks (Pennsylvania), naczelnikowi zaś Związku Sokółów druhowi Bartmańskiemu (zginął jako pułkownik koło Ostropola w roku 1920 w walce z bolszewikami), gdy przyszedł do gniazda, ofiarowało szablę. Druh Bartmański przy tej okazji wypowiedział kilka gorących słów i przyrzekł, że nie spocznie,



Dr. Romuald Ostrowski,
Mistrz Kapituły Legji Honorowej
Sokolstwa Polskiego w Ameryce,
ówczesny naczelnny lekarz Okręgu
VI-go Związku Sokółów Pol-
skich w Ameryce.

dopóki otrzymanej od druhów szabli nie umacza przed śmiercią we krwi wroga.

Druh Bartmański, jako naczelnik Związku Sokołów Polskich w Ameryce, mianował mnie naczelnikiem VI-go Okręgu Sokolego na stany: Michigan, Indiana i Ohio. Okręg ten wówczas był mocno zdezorganizowany. W ciągu



Zjazd i kurs naczelników okręgowych Sokolstwa Polskiego w Ameryce, odbyty w Pittsburghu — Pennsylvania od dnia 28 listopada do 6 grudnia 1916 roku.

kilku miesięcy doprowadziłem go do porządku dzięki pomocy druhów: Stanisława Chełminiaka i d-ra Romualda Ostrowskiego.

Jako naczelnik VI Okręgu, na plenarnym zjeździe Związku Sokołów Polskich w Ameryce w roku 1916, proponowałem stworzenie Szkoły Podchorążych (potem umieszczoną przy szkole Związku Narodowego Polskiego w Cambridge Springs, Pa.), ofiarowując pierwszą składkę

na zapoczątkowanie tego dzieła. Pomysł przyjęty był z entuzjazmem. Napełniło to serce moje otuchą, iż plan, który w głębi duszy żywiłem, zaczyna wcielać się w życie.

Ażeby dalsze zamiary mogły być urzeczywistnione, należało wyszkolić kandydatów na oficerów. Przystępując do tej pracy z całą świadomością, dalszy pomyślny przebieg zawdzięczam przypadkowi. Gdy przekraczałem granicę Kanady i Stanów Zjednoczonych w Windsor (Ontario), poznał mnie jeden z moich kolegów broni z armji amerykańskiej, któremu ongiś wyświadczyłem małą przysługę, ułatwiając mu przejście do Meksyku w chwili, gdy znajdował się w poważnem niebezpieczeństwie. Kolega ów, chcąc się wywdzięczyc, zabrał mnie prawie gwałtem do swego domu w Kanadzie, gdzie poznałem całą jego rodzinę i jego znajomych, wpływowych ludzi. Ojciec kolegi, pułkownik Sir William Price, organizował wówczas właśnie swoim kosztem własny pułk. Rozmowy w domu pułkownika toczyły się wokoło rozgrywających się wypadków wojennych; ze swej strony przedstawiałem rozpaczliwe położenie Polski; Sir William Price słuchał uważnie moich wywodów, gdy zaś skończyłem, oświadczył, iż początkowo pragnął mnie widzieć w swoim pułku, jednakże z chwilą, kiedy poznał i zrozumiał patriotyzm narodu polskiego przez moje usta, skoro z wywodów moich wywnioskował, że Polacy w Ameryce mogą dać do stu tysięcy ochotników — nabrał przekonania, że w jego pułku mógłbym niewiele zdziałać w stosunku do tego, co mogę uczynić, organizując chociażby 25,000 takiego żołnierza, jakim zawsze był w historii wojen żołnierz polski. „Tego rodzaju żołnierz — wyraził się Sir William — w walce z Niemcami odda z pewnością nieocenione usługi“. „Ja oddaję moje bogactwo i mienie, swych drogich chłopców dla mojej drogiej Anglii“ — mówił dalej. Sły-

sząc to, łzy zakręciły mi się w oczach, zerwałem się z krzesła i zawołałem: „Panie Pułkowniku, a cóż ja biedny tułacz mogę dać mojej nieszczęśliwej, rozszarpanej, krwią broczącej Polsce?— chyba tylko moje gardło. Bierz mnie Pan ze sobą, jestem do Pana dyspozycji! “ Na to Sir William zbliżył się i rzekł: „Nie ma Pan prawa oddawać swego gardła, lecz obowiązany Pan oddać swój rozum i swój talent organizacyjny i tu ja znów jestem do Pańskiej dyspozycji. To, co Pan zamierza, ze swej strony będę się starał wykonać, wcielić w czyn w miarę sił moich i stosunków“. Zrozumiałem, że jest to rozstrzy-



Ś. p. druh Andrzej Małkowski (*), ojciec skautingu polskiego, i W. Skarzyński(**) — w mundurach szkoły oficerskiej przy „University of Toronto“ w Kanadzie.

gająca chwila, odpowiedziałem więc z zapalem: „Dobrze! Rozporządzaj Pan, Panie Pułkowniku, moją osobą“. Na to Sir William Price ujął słuchawkę telefonu, połączył się z ministrem wojny Sir Sam Hughes'em, ten zaś wyznaczył mi u siebie za sześć dni audjencję.

W międzyczasie na moje wezwanie przyjechał do Ottawy ojciec skautingu polskiego, obecnie nieżyjący

Andrzej Małkowski. Po przybyciu do Kanady, powiadomiony o zasłanych wypadkach, entuzjastycznie odniósł się do moich zamierzeń, zachęcał mnie gorąco do wyzyskania chwili i ofiarował gotowość pełnienia czynności mego sekretarza.

Na audjencji u kanadyjskiego ministra wojny, w obecności członków sztabu generalnego, zapytano mnie, kogo reprezentuję; odpowiedziałem: „Siebie samego i tego, co obok mnie siedzi, p. Małkowskiego. Pozatem, nie jestem przedstawicielem kogokolwiek bądź i nie chcę się powoływać na nikogo. Moim niezłomnym zamiarem, który zacząłem wcielać w życie, jest stworzenie siły zbrojnej polskiej tu w Kanadzie, a następnie pójdzie do Francji, wedle tradycji ojców moich, ażeby z bronią w rękę wziąć udział w walce z barbarzyńskimi hordami niemieckimi“. Następnie, chcąc wykorzystać niezwykłą sposobność uprzejmości ministra wojny, starałem się przekonać go o konieczności utworzenia kadr polskich, zatem w pierwszej mierze szkoły polskiej wojskowej — przedewszystkiem zaś wytłómaczyłem, iż należy co rychlej uzyskać zgodę Wielkiej Brytanji na opowiedzenie się za niepodległością Polski w jej granicach historycznych z Gdańskiem i Królewcem. Ostatnie zdanie podziało na Anglików jak uderzenie piorunu — poprostu osłupieli. „Tak — ciągnąłem dalej bez zmieszania — nawet Berlin leży na naszej słowiańskiej ziemi. Rozumiem, Panie Ministrze, że nie możemy sięgać zbyt daleko, jednak po to z naszej ojcowizny, co rzeczywiście jest nam niezbędne dla życia wielkomocarstwowego, sięgnąć należy. Obecnie, wskutek prześladowań zaborców w Polsce, posiadamy za granicami kraju dużą i dzielną rezerwę narodową, wyćwiczoną w szkole anglo-saskiej, liczącą około pięciu milionów. Należy corychlej mózg anglo-saski połączyć

z mózgiem i bujną naturą słowiańską, zwłaszcza narodu polskiego, zajmującego przodujące stanowisko w Słowiańszczyźnie. Dopiero wówczas wasza praktyczność i realizm, połączone z naszym idealizmem, mogą wytworzyć prawdziwą siłę i potęgę, zdolną stawić czoło barbarzyńcom Zachodu, tak, jak to czyniliśmy przez cały ciąg sławnych naszych dziejów, gdyśmy ów Zachód bronili własnymi pierściami przed hordami Wschodu. Jeśli bowiem będziemy mogli posiadać siłę zbrojną, jaką możemy stworzyć zarówno dla nas, jak i dla was — dopiero wówczas będziemy w stanie zwalczać waszego nieprzyjaciela i naszego odwiecznego śmiertelnego wroga“.

Kiedy skończyłem, powstał minister Hughes i zapytał, czy służyłem w jakim wojsku. Kiedy odpowiedziałem, że poprzednio służyłem jako ochotnik w stopniu podoficerskim w wojsku Stanów Zjednoczonych, rzekł: „W takim razie mianuję Pana pułkownikiem“. Odpowiedziałem: „Panie Generale, dziękuję za Jego łaskawość, lecz wolę uprzednio przejść szkołę i wolę być lepiej przygotowany przed uzyskaniem takiego stopnia, gdyż sprawa mogłaby na tem ucierpieć — mianowania tego nie mogę obecnie przyjąć“. Audjencja przeciągnęła się jeszcze przez pewien czas na omawianiu technicznych szczegółów, dotyczących się wojska.

Po skończonej audjencji, spisawszy protokół konferencji i złożwszy projekt i warunki organizacyjne polskiego legjonu, zawiadomiłem o tem wszystkiem prezesa Związku Sokołów Polskich w Ameryce i jednocześnie zawiadomiłem go o drugiej konferencji, jaka się miała odbyć w Ponchentrain Hotelu w Detroit — Michigan, z udziałem oficerów angielskiego sztabu generalnego. Na te obrady z ramienia Związku Sokołów zostali delegowani półoficjalnie pp. Andrzej Małkowski i Franciszek

Dziób (ten ostatni był podówczas naczelnikiem Związku Sokołów Polskich w Ameryce). Wobec bardzo nieumiejętnego stawiania sprawy przez druha Dzioba i nieznamości angielskiego języka, konferencja dała słabe wyniki, tymczasem Sokolstwo zostało steroryzowane przez Komitet Obrony Narodowej. Powód był następujący. Pięciu młodych zapaleńców Sokołów na czele z druham Sobczakiem, zasłyszawszy od druha Małkowskiego, że coś tam jakiś Skarzyński robi w Kanadzie, wybrało się do owych legjonów kanadyjskich, ażeby zaciągnąć się do szeregów legjonu polskiego. Na granicy kanadyjskiej zatrzymano ich i oświadczono im, że urzędowo o żadnej podobnej akcji niewiadomo. Było to zupełnie naturalną rzeczą, gdyż akcja, niedoprowadzona do końca, nie była jeszcze ujawnioną. Zawiedzeni w swych nadziejach, niedoszli legioniści udali się pod opiekę przeciwnego obozu i rychło na łamach dzienników polskich w Ameryce, sprzyjających K. O. N. (Komitetowi Obrony Narodowej), ukazały się artykuły o zaprzędaniu caratowi młodzieży sokolej przez Wincentego Skarzyńskiego, ówczesnego naczelnika Okręgu VI-go (graniczącego z Kanadą) Związku Sokołów Polskich w Ameryce, niby z tej racji, że ów legjon polski w Kanadzie miał być częścią armji angielskiej.

Pierwszy taki artykuł ukazał się w „Dzienniku Polskim” w Detroit — Michigan, którego tekst podaję:

„Zbrodnia naródowa Zarządu Sokołów.

Z okręgu Detroitkiego zaprzędano wiele młodzieży caratowi!

Ośm okręgów sokolich odbędzie w Nowym Yorku zjazd w sprawie ratowania organizacji sokolej.

Dowiadujemy się, że z okręgów VI, II i IV Zw. Sokołów Polskich *pojechało do Kanady sporo młodzieży z naczelnikiem okręgu VI, Skarzyńskim, na czele.* Wyjechało prawdopodobnie kilkuset Sokołów.

W niedzielę, 29 października, odbędzie się konferencja Sokołów z okręgów wschodnich: I, III, V, VII, VIII, IX, X i XII w Nowym Yorku, w Domu

Narodowym, 404 E. 15 ulica, od 2 po południu począwszy. Przedstawiciele tych okręgów zjadą się, aby radzić nad ratunkiem organizacji sokolej. Precz z Rosją! Czas służyć Polsce i resztki sił dla Niej zachować. Precz z Wydziałem judaszowym, pragnącym hurtem zaprzedać Sokołów Rosji. Ratujmy młodzież sokolą!"

Dalszy bieg nawiązanych stosunków omawiany był wspólnie z Zarządem Sokoła, głównie z prezesem Starzyńskim. Do niego przyjechał wówczas, na skutek depesz, wysłanych przez Małkowskiego do Paryża do Władysława Zamoyskiego, niejaki p. J. N. Horodyski. Ten pan, wysłany jakoby z ramienia p. Romana Dmowskiego, zainstalował się tak mocno w Sokole, że prezes Starzyński, wezwawszy mnie do Pittsburga (siedziba Zarządu Związku Sokołów Pol. w Ameryce), jako od karnego Sokoła, zażądał bezwzględного posłuszeństwa i nieporozumienia odtąd żadnego kroku na własną rękę, a tylko jedynie za zgodą p. Horodyskiego, który był jakoby ambasadorem p. Romana Dmowskiego i I. J. Paderewskiego. Uważając się za rzeczywiście karnego Sokoła, podporządkowałem się żądaniom prezesa Starzyńskiego i naczelnika Franciszka Dzioba, dając słowo honoru, że przez trzy miesiące będę beczynny. Tymczasem p. Horodyski, będąc, jak się później dowiedziałem, w służbie dyplomatycznej Wielkiej Brytanji, był powiadomiony dokładnie o wszystkich krokach moich i druha Andrzeja Małkowskiego w Kanadzie, wyjechał też do Ottawy i całą robotę przezemnie rozpoczętą zaczął sam prowadzić. Ponieważ początkowo nie miałem pojęcia kim był właściwie p. Horodyski, a wierzyłem, że prezes Starzyński działał w jak najlepszej wierze (jak zresztą istotnie było), nic nie robiłem, tylko wyczekiwałem rozkazu z góry. Wreszcie druh Małkowski, zniecierpliwiony wyczekiwaniem, w listopadzie 1916 r. wymknął się do szeregów angielskich w Kanadzie.

Zniecierpliwienie z powodu próżnego wyczekiwania konkretnych wiadomości odzwierciadla jeden z listów ś. p. Andrzeja Małkowskiego (W krótkim czasie po tym liście wstąpił on do szeregów kanadyjskich):

6 października 1916.
180 Second Ave. New York, N. Y.

Dh W. Skarzyński.

Drogi Druhu!

Jestem zaniepokojony milczeniem Waszym i dha D. w sprawie kanadyjskiej. Sprawy osobiste nie pozwalają mi dłużej czekać decyzji, nad kilka dni jeszcze. Z tego powodu proszę Was o odwrotne doniesienie mi listowne przez special delivery — jak wiadomy nasz projekt władze kanad. przyjęły.

Serdeczny uścisk dłoni. Czuwaj!

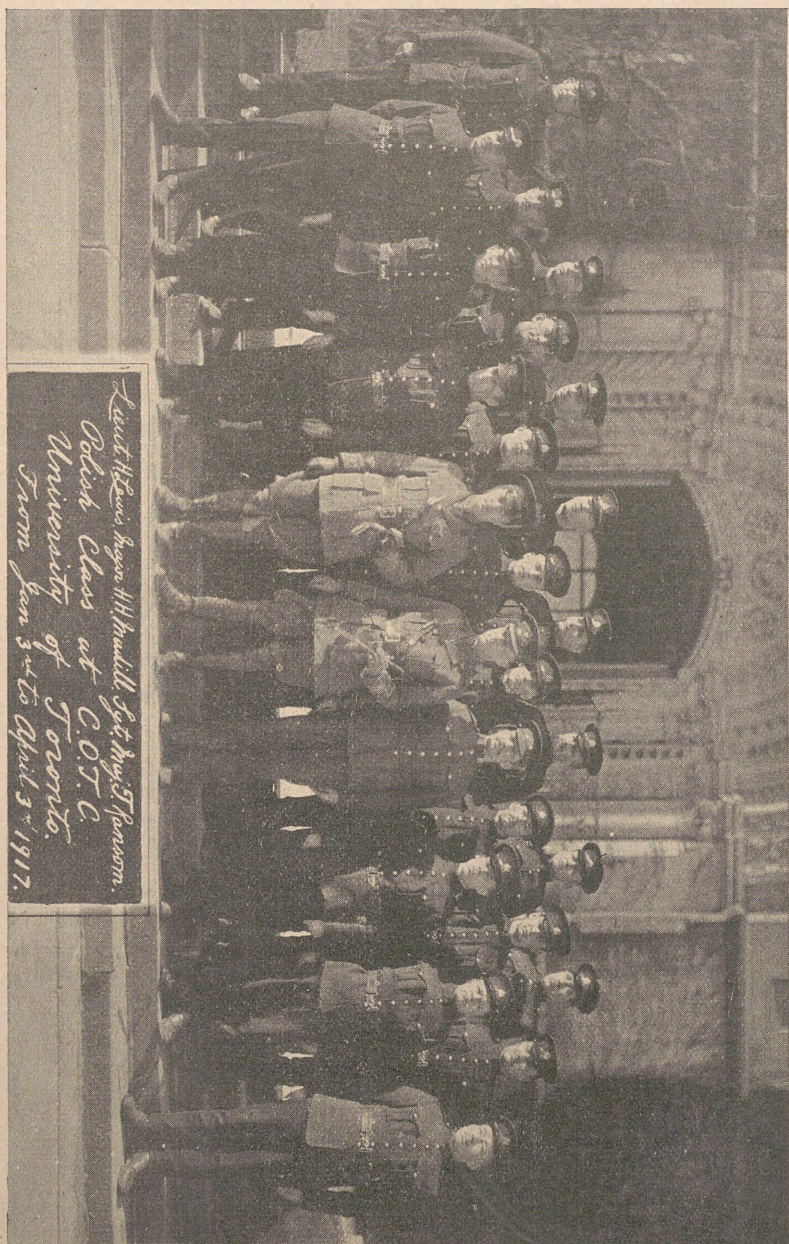
Andrzej Małkowski.

W międzyczasie od prezesa Starzyńskiego i naczelnika Dzioba otrzymałem polecenie przygotowania ludzi w swoim Okręgu do wyjazdu do Kanady. Zbiórka była naznaczona w Carls Rite Hotelu w Toronto. Na zbiórkę przybył p. Horodyski i urzędowo oświadczył, iż sam obejmuje organizację, co było równoznacznem z zagarnięciem dzieła rozpoczętego nie przez niego i wykorzystaniem mojej inicjatywy.

Nie wolny od podejrzeń, podporządkowałem się karnie i, w myśl danego słowa swemu prezesowi, ustosunkowałem się biernie do wypadków. Nie chcąc tracić czasu w bezczynności, zapisałem się do szkoły, wraz z tymi druhami, których poprzednio zwerbowałem.

Mając poza sobą trzyletnią służbę wojskową w armii amerykańskiej, wcześniej od moich towarzyszy ukończyłem szkołę oficerską przy Kanadyjskim Uniwersytecie w Toronto, poczem zostałem instruktorem swoich byłych współkolegów. Już wszyscy ukończyli studja — już

Eigentum
Heeresarchiv - Zweigstelle
Danzig



Grupa pierwszych ochotników w szkole oficerskiej w Kanadzie z dwoma instruktorami kanadyjskimi — przed gmachem uniwersytetu w Toronto (w Kanadzie).

wszyscy z upragnieniem rwali się do czynu, a tymczasem „Mesjasz“, p. Horodyski, nie zjawiał się. Wobec tego zupełnie nieoczekiwanego obrotu rzeczy, musiałem ratować położenie, musiałem układać się z dowódcą szkoły i na swój koszt wysłałem trzech kolegów na walny zjazd Sokolswa do Pittsburga w kwietniu 1917 r., a więc już po wypowiedzeniu Niemcom wojny przez Stany Zjednoczone Północnej Ameryki.

Na owym zjeździe wykryło się wszystko. Społeczeństwo polsko-amerykańskie dowiedziało się o istnieniu szkoły wojskowej, jednakowoż nikt nie chciał i nie umiał zająć się nią na serjo, wszystko zatem musiałem dźwignąć na swoich barkach. Zacząłem od porozumienia się z prezesem Starzyńskim, lecz, niestety, ani prezes, ani naczelnik Związku Sokołów Polskich w Ameryce—Dziób, pozostający pod pełnym wpływem Horodyskiego, — który w międzyczasie zniknął jak kamfora, — nie chcieli nic działać w kierunku ześrodkowania wysiłków w szkole wojskowej. Owa niechęć do przeprowadzenia tak świetnie zapowiadającej się sprawy pochodziła stąd, iż Paderewski zaproponował Sokołom w Ameryce stworzenie „Armji Kościuszki“ w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Był to, niewiadomo przez kogo podsunęty, nierealny pomysł, gdyż rząd amerykański, gdyby zgodził się

Pierwsi wychowankowie Szkoły Oficerskiej przy Uniwersytecie w Toronto (Kanada).

- | | | |
|-------------------|--------------------|---------------------|
| 1) Adamczak L. | 9) Król B. | 17) Skarzyński W. |
| 2) Albrycht W. | 10) Kryze J. | 18) Sobczak L. |
| 3) Bogucki J. | 11) Małkowski A. | 19) Szlachciński S. |
| 4) Chwałkowski L. | 12) Osielski J. | 20) Szymański F. |
| 5) Gawryś T. | 13) Rokicki J. | 21) Więcek A. |
| 6) Godowski T. | 14) Seiler J. | 22) Wróblewski J. |
| 7) Klatt A. | 15) Serge B. | 23) Zielecki K. |
| 8) Kresse A. | 16) Sierociński J. | |

na odrębną polską narodową armję — musiałyby i innym także zezwolić na organizowanie nacjonalnych jednostek wojskowych, co oczywiście, według mego zdania, byłoby wbrew interesom Stanów Zjednocz. Pół. Am., orietując się zaś dość dobrze w warunkach i stosunkach amerykańskich, zgóry przewidywałem niewykonalność pomysłu, to też z całym zaparciem się siebie pracowałem w dalszym ciągu nad utrzymaniem i rozwojem rozpoczętego dzieła na terenie Imperjum Brytyjskiego w Kanadzie. Nasłany przez Romana Dmowskiego (jak twierdził) mąż zaufania Paderewskiego i urzędnik wielkobrytyjski p. Horodyski, przestał się nami opiekować i znikł z horyzontu.

Dla ratowania szkoły i wogóle całego planu organizacji armji polskiej w Kanadzie, przyznaję się, musiałem użyć wprost podstępu, żeby zawładnąć Starzyńskim, wyrwać go z koła sugestji Horodysko-Paderewskiego z Pittsburgha i sciągnąć do Toronto i Ottawy w Kanadzie. Umówiłem się zatem z pięciu wybitniejszymi kolegami, t. j. z Albrechtem, Adamczakiem, Osielskim, Sierocińskim i Wiackiem, i pojechałem do Pittsburgha, przygotowany na wszystko, nawet na porwanie Starzyńskiego do Kanady. Najwyższy czas był uczynić coś stanowczego, gdyż i chłopcy zaczęli się burzyć, zgłoszeń zaś do szkoły było coraz więcej — i władze kanadyjskie nie wiedziały jak dalej postępować. Udało mi się jednak wkońcu ubłagać Starzyńskiego i nakłonić go do wyjazdu do Toronto. Równocześnie opracowałem plan dalszego działania, na który zgodzili się w zupełności zarówno prezes Starzyński, jak i pułkownik Le Pan, komendant Szkoły Oficerskiej przy Uniwersytecie w Toronto.

Zawiadomiłem także owych pięciu wspomnianych wyżej kolegów o przybyciu Starzyńskiego. Zebraliśmy

się u księdza Hincmana, proboszcza polskiej parafji w Toronto, dla omówienia dalszych kroków. Wynikiem narady było utworzenie przez nas komisji, która przede wszystkim zajęła się przetłumaczeniem angielskich regulaminów wojskowych na język polski.

Należy zaznaczyć, że dzięki spolszczeniu musztry angielskiej, w dniu 3-im maja 1917 r., przed wyruszeniem do kościoła, odbyliśmy pewnego rodzaju popis oddziału polskiego szkoły wojskowej i to ku ogromnemu zdziwieniu Anglików; popis ów odbył się przy dźwiękach komendy polskiej. Komendant Szkoły pułkownik Le Pan zrobił mi wielką wymówkę za to, że nie



Pierwsi ochotnicy Szkoły Oficerskiej w Kanadzie z księdzem Hincmanem, proboszczem parafji polskiej w Toronto (Kanada).

uprzedziłem go o zamiarze komenderowania po polsku. On sam dostał za dopuszczenie do tego faktu ostrą nagane od władz wyższych. Anglicy nie mogli ochłonąć z podniecenia, iż obca mowa mogła rozbrzmiewać urzędowo w wojskowej szkole angielskiej, która czegoś podobnego nie widziała od początków swej historii. Wypadek ten, później załagodzony, udowodnił Anglikom, że owa mała garstka „straceńców“ nie przyszła tu jako najmici, lecz jako ludzie idei, polscy patryjoci, którzy z zaparciem się siebie zaryzykowali udać się do Kanady, żeby stworzyć fundament pod polską narodową jednostkę wojskową, nie zrażając się żadnymi przeszkodami, by tylko osiągnąć ten cel upragniony nieszczęsnych tułaczy, byle tylko pozostać żołnierzem swej matki-Polski. I tutaj również prezes Starzyński przekonał się o istotnym stanie rzeczy, o położeniu w jakim znajdowali się owi „straceńcy“, t. j. pierwsi wychowankowie szkoły, znanej oficjalnie po angielsku pod nazwą „Canadian Officers' Training Corps“ („C. O. T. C.“).

To też, widząc to wszystko, prezes Starzyński dał się namówić do pojechania ze mną do Ottawy. Po otrzymaniu audjencji u szefa Sztabu Generalnego generała Gwatkina, przedstawiłem mu osobę prezesa Związku Sokołów Polskich w Ameryce, doktora Teofila Starzyńskiego i, ażeby ratować polski „prestige“, zachwiany zniknięciem Horodyskiego, starałem się, jak mogłem tylko, ażeby ten fakt wytłumaczyć. Natychmiast też podniosłem konieczność otrzymania zezwolenia na powiększenie liczby wychowanców wyżej wymienionej szkoły oficerskiej. Po długich i wyczerpujących dowodzeniach i naradach, po uroczystem zapewnieniu, że Horodyski już nie będzie nadal mężem odpowiedzialnym, lecz będzie nim odtąd prezes Starzyński — szef Sztabu Generalnego Kana-

dyjskiego zgodził się na mój projekt powiększenia szkoły, organizację zaś całą teŹże powierzył mnie. W ten sposób zakończyła się męcząca niepewność o losie z takim trudem rozpoczętej pracy nad zbudowaniem w Ameryce podstawowej komórki polskiej armji, pracy przerwanej wtargnięciem Horodyskiego i próbami zagarnięcia całego planu w swoje ręce.

W powrotnej drodze z Ottawy zyskałem zatwierdzenie przez prezesa Starzyńskiego mego projektu dalszego rozwoju szkoły. Chodziło o to, ażeby ci, co skończą szkołę w Toronto, mogli udać się do Cambridge Springs w Stanach Zjedn. Półn. Am. jako instruktorzy, gdzie Związek Sokołów Polskich w Amer., dzięki udzieleniu lokalu przez tamŹe istniejącą wyższą szkołę Związku Narodowego Polskiego w Ameryce, już był rozpoczął szkolenie materiału ochotniczego na kandydatów na przyszłych oficerów. Przerorsowałem również Sierocińskiego na stanowisko komendanta teŹże szkoły w Cambridge Springs (zrobiłem to powodując się raczej osobistą sympatją) mimo znacznego sprzeciwu prezesa Starzyńskiego, który był przeciwny wszelkim zmianom i pragnął na tem stanowisku widzieć dawnego komendanta tej szkoły, Dzióba; ja zaś byłem zwolennikiem zmian, ponieważ właśnie wskutek projektowanych przezemnie zmian, ujednostajniał się system w obu szkołach.

W szkole oficerskiej w Kanadzie wśród chłopców powstała wielka radość, gdy się dowiedzieli, Źe po jej ukończeniu będą mogli wyjechać do Stanów. Niektórym z nich dałem urlop wypoczynkowy, dając im zasiłki, innym poleciłem wyjazd do Cambridge Springs pod opiekuńcze skrzydła Związku Sokolego, sam zaś otrzymałem rozkaz od prezesa Starzyńskiego, ażeby, nie oglądając się na fantastyczne pomysły armji Paderewskiego,

czy Horodyskiego, udać się do Chicago, Milwaukee, South Bend i Detroit w celu powiększenia kadr oficerskich przez zaciągnięcie do nich starszyny Sokolej, mając przydanego do pomocy naczelnika drugiego Okręgu Sokolego druha Wład. Sulewskiego. Rozkaz całkowicie wypełniłem,



W. Skarżyński w mundurze porucznika armji kanadyjskiej i ś. p. druh Bartmański w mundurze uczniowskim szkoły oficerskiej „University of Toronto“.

poczem zaczęło się uciążliwe szkolenie. Trudności wynikały głównie z powodu nieznamomości języka angielskiego przez wielu kandydatów, oraz wygórowanych ambicji poszczególnych jednostek.

W Detroit spotkałem byłego naczelnika Związku Sokołów Polskich w Ameryce druha Bartmańskiego, b. nadporucznika piechoty austriackiej. Bartmański swego czasu zrezygnował z naczelnikostwa Związku Sokołów Polskich w Ameryce wskutek konfliktu osobistego

podczas kursu starszyny Sokolej Okręgu VI w South Bend, z powodu różnic zdań z prezesem co do sprawy Armji Polskiej. Chcąc zgromadzić jak największą ilość byłych wojskowych, starałem się usilnie o wciągnięcie Bartmańskiego i jego podkomendnych. To też, kiedy

zobaczyłem Bartmańskiego, wyprężyłem się przed nim po wojskowemu, mówiąc: „Druhu Bartmański, druhu naczelniku, melduję posłusznie, że praca o której druha kiedyś marzył, tworzenie siły zbrojnej polskiej, naprawdę jest rozpoczęta. Zaklinam Was, na Boga, ażebyście poza wszelkimi osobistymi względami, wysłuchali spokojnie tego meldunku i wraz z nami do tej pracy stanęli“. Ponieważ spotkanie owo nastąpiło po wielu bombach prasowych, w których oczerniano mnie, jakoby zaprzedał Sokolstwo caratowi, o czym już poprzednio wspominałem, Bartmański zastanowił się przez chwilę, poczem wyciągnął prawicę i odpowiedział, że zanim stanie do szeregu, musi dowiedzieć się, gdzie, z kim i w jaki sposób praca jest prowadzona. Po wyczerpujących wyjaśnieniach i długiej dyskusji, dał mi słowo honoru, iż stawi się w umówionym miejscu na granicy kanadyjskiej, co rzeczywiście wykonał. Jako wytrawny oficer, w całej pracy był wielce pożytecznym czynnikiem.

Przed zawiezieniem chłopców ze Stanów do Kanady odebrałem od nich ślubowanie, rodzaj przysięgi, wymaganej przez władze kanadyjskie, w języku polskim, omijając w ten sposób trudności, jakieby mogły wyniknąć przy braniu pod uwagę oryginalnego angielskiego tekstu, który zobowiązywałby każdego z ochotników do przysięgi na wierność królowi angielskiemu, a tem samem i do służby w armji angielskiej. Mając na myśli uniknięcie tego, zmieniłem przysięgę angielską na przyrzeczenie podane na stronicach 34 i 36.

Z chwilą kiedy w szkole zaczęły przybywać klasa po klasie, liczba zaś uczniów wzrosła do pokażnej cyfry, rozpoczęła się bardzo energiczna praca i pochłonęła ona wszystkie angielskie siły instruktorskie, będące w rozporządzeniu szkoły. W lecie 1917 roku szkoła przeniesioną

Łódź dnia 29 maja 1917r.

Ja jako członek szkoły powołanych klasy wygryz
jako karmy sokół zobowiązuje się do tego honoru
stuchai karmie i wypełniać po zstwierdzeniu wygryzki
rozkaży komendy szkoły. Wykazuję w Stanowisku
i stosować się do wszelkich przepisów i regulaminów
szkoły, co własnoręcznie podpisem

stwierdzam

W. Sulowski

E. Czerwinski

J. Olecki

C. Lutecki

J. Kondrasiński

J. Krowczyński

J. Krowczyński

W. Organicki

C. Kurierski

Jan Karkowski

Jan W. Hawowski

Jan Lubart

J. Krowczyński

C. Rogoziński

J. Wójcik

Józef O. Guremba

J. Wójcik

J. Wójcik

S. Twardowski

W. Sargalski

J. Lachowski

J. Rypinski

W. Lewanowski

J. B. B. B.

H. Pienkosi

Gotfr. P. P.

P. Tanczer

E. Tanczer

J. Tanczer

W. Tanczer

J. Tanczer

J. Tanczer

J. Tanczer

J. Tanczer

J. Tanczer

J. Tanczer

J. Tanczer

J. Tanczer

J. Tanczer

J. Tanczer

J. Tanczer

J. Tanczer

J. Tanczer

J. Tanczer

J. Tanczer

J. Tanczer

J. Tanczer

J. Tanczer

J. Tanczer

J. Tanczer

J. Tanczer

J. Tanczer

J. Tanczer

J. Tanczer

J. Tanczer

J. Tanczer

J. Tanczer

J. Tanczer

J. Tanczer

J. Tanczer

J. Tanczer

J. Tanczer

J. Tanczer

J. Tanczer

J. Tanczer

J. Tanczer

Jan 29 maja 1917r.
W. W. Skrzypkowski
Przewodniczący

została z Toronto do Camp Borden i tutaj właściwie przeobraziła się w szkołę polską. Dla ukończonych słuchaczy szkoły piechoty wprowadzono na moje żądanie specjalizacje, kursy karabinów maszynowych, inżynierji polowej, miotaczy bomb etc.

W końcu maja 1917 roku zostałem mianowany porucznikiem, ku wielkiej radości uczniów szkoły, i wstąpiłem, jako instruktor, na kurs kapitański (ob. fotografię na str. 32). Po ukończeniu kursu pojechałem do Stanów do zarządu Związku Sokołów Polskich dla przeprowadzenia, ze współudziałem prezesa d-ra Starzyńskiego, próby mobilizacji pierwszego pułku sokolego. Zarząd „Sokoła“ zgodził się na dalszy mój plan — mianowania komisji wojskowej, i dnia 27-go lipca 1917 r. powołałem do niej prezesa d-ra Teofila Starzyńskiego oraz druhów: Jana Bartmańskiego i Józefa Sierocińskiego.

Uczestnicy drugiej grupy w Szkole Oficerskiej przy Uniwersytecie w Toronto (Kanada).

Bartman A.	Łączkowski S.	Rupiński J.
Bartmański J.	Matecki J. K.	Rzewuski W. W.
Bauer F.	Michniewicz Z.	Szembariski S.
Bednarz J. J.	Nastał S.	Sulewski W.
Borek S.	Oleksy E. J.	Szymański J.
Chwastyk J.	Organisty W.	Trawiński W. H.
Dombrowski K.	Pasternak F.	Turkowski W.
Janeczko P.	Pawłowicz E.	Urban L.
Kendziorek F.	Pela J.	Urbaniak J. H.
Klich F.	Pieprzny G.	Wałaszczuk W.
Krzysztańkiewicz Z.	Piasecki W.	Wojciechowski S.
Kuraszkiewicz S.	Piotrowski Z.	Wójcik F.
Kusjorski P.	Pryba W.	Wronowski S.
Lewandowski M.	Roskosz J.	Żydanowicz P. F.
Liss J.	Rogoziński S.	
Łabędzki S. K.	Rowiński Z. J.	

(Do fotografii na str. 32).

NAME	ADDRESS	RESIDENCE
Jako prawni Polak i Kaci Stryk Podchorążych Klasz z 30. 3. 1917 r. Wydaję się dobranej z wszystkich regularnie wziętych klasz z 30. 3. 1917 r. Jako też rozgot wzięty prawni parz C.O.T.C. obecnie w obzyc w Camp Norden - Prowadzący jako prawni i Kaci Stryk b. d. z. jak również Stryk tego co powyższe, przysięgam i wstąpił do detonyacji Kaci, co gwarantuję Stryk Konow i potwierdzam własną ręczną podpisem.		
Andruszkiewicz P. Basowski M. Bańkiewicz F. Białas F. Blacha S. Bratuszewski S. B.	Brzeziński B. Budziak L. Butlak S. A. Ciapa J. Ciecierski W. Cieśliński A.	Czaban W. A. Czaczkowski B. Czajkowski W. Dąbrowski J. Dombrowski A. Drączkowski S.

Uczestnicy trzeciej grupy w Szkole Oficerskiej przy Uniwersytecie w Toronto (Kanada).

Andruszkiewicz P.
Basowski M.
Bańkiewicz F.
Białas F.
Blacha S.
Bratuszewski S. B.

Brzeziński B.
Budziak L.
Butlak S. A.
Ciapa J.
Ciecierski W.
Cieśliński A.

Czaban W. A.
Czaczkowski B.
Czajkowski W.
Dąbrowski J.
Dombrowski A.
Drączkowski S.

Dudek W.
Dworzecki F.
Dzierżgowski P.
Galasiewicz F.
Galiński W. J.
Gawałkiewicz W.
Godziszewski R.
Gołaszewski W.
Gorczyca W.
Gosiewski J.
Górecki F.
Grecki J.
Gruchacz L.
Gut J. L.
Jędrzak J.
Karczewski S.
Kargol W.
Kawszewicz J.
Klimczewski H.
Kogut G. J.
Kolasa S. J.
Kordecki W.
Kosiński F.
Kostrubała J. K.
Kowalczyk A.
Kowalewski A.
Kowalski M.
Kozłakowski A.
Kozłowski J. F.
Kukuczka J.
Kuźmiński F. S.

Kwaśniewski F.
Ławcewicz G.
Łuczywo B.
Łyczak A. B.
Malinowski A. T.
Marszewski M.
Matejkowski A.
Matuszkiewicz J.
Mierzejewski W.
Miller L. R.
Miller R.
Minoga J.
Misiewicz P.
Młochowski K.
Mulak J.
Niemiec P. J.
Niski B.
Nowak Z. F.
Nowakowski S.
Pajewski M.
Paluch M. K.
Pałaszewski S.
Partyka S.
Paśniewski J. R.
Pawlak W. A.
Pawłowski W.
Perzan J.
Pospuła J.
Przybyłowski S.
Pszczołkowski K.
Pułaski S.

Radziwanowicz A.
Rolka I.
Ruciński J. H.
Rumiński J. A.
Rutkowski S. R.
Sielawa S.
Smakosz V. T.
Smieciński F.
Sobieski I.
Solon S.
Sosien S.
Sosnowski C. A.
Stach L. S.
Staniszewski A.
Stępkowski J.
Stygar W.
Szczepański P. A.
Szwagiel W.
Szwajkowski J.
Tenerowicz J.
Truszkiewicz F.
Twardowski S. J.
Wenda B.
Wenglicki J. W.
Wienckus Z. F.
Wojtylak B.
Zajączkowski W.
Zarzecki W. L.
Zegarski F. R.
Żebrowski S.

Opinia komendanta Szkoły Oficerskiej w Kanadzie,
pułkownika A. D. Le Pan, o poruczniku W. Skarzyń-
skim, wyrażona w piśmie, nadesłanem do Komitetu Na-
rodowego Polskiego na ręce majora F. E. Fronczaka:

Komitet Narodowy Polski

Wydział Opieki Moralnej
i Materjalnej
47 bis, Ave Kleber, Paris.

W G

2426

Paryż, dn. 17 lutego 1919 r.

Major F. E. Fronczak,
Kierownik Wydziału Opieki Moralnej
i Materjalnej

do: Porucznika Skarzyńskiego
Główna Kwatera N. D. A. P.

W załączeniu przekazuję Panu list, nadesłany do
mnie przez pułkownika Le Pan, komendanta Obozu Pol-
skiego Niagara-on-the-Lake, Ont., Canada, w sprawie Pana,
który to list może Panu się przydać.

Franciszek E. Fronczak.

FEF/WMS
Załącznik 1.

And WG 2417 S 16/II 1919.

Re Lt Skarzyński — important.

M. F. B. 239.

MILITIA AND DEFENCE.

1½ million—3-18.

H. Q. 1772-39-194.

Polish Army Camp

Niagara-on-the-Lake, Ont., Jan. 31 st. 1919.

To: Major Francis E. Fronczak, MC USA,
Director—Dept of Public Welfare
Polish National Committee
47 bis, Avenue Kleber, Paris, France.

Dear Major Fronczak,

I was glad to receive your letter of Jan 4th and to have the opportunity at your request of giving you my appreciation of the work of Lieut W. N. Skarzyński in as far as it came under my observation.

Skarzyński arrived at the School of Infantry, Toronto on Jan. 3rd. 1917 with the first class of Polish boys to be qualified. You will readily appreciate that the situation was an unusual one and even with devotion and patriotism on the part of the Poles and a sympathetic attitude on the part of Canadians it took time to come to a complete understanding of each other. During this period Skarzyński was of very great value and stood out as a leader. It was with him that often I discussed matters of procedure and had it not been for his assistance many difficult situations might have arisen.

After qualification he stayed at the School for a while as an instructor and later a good deal of his time was spent in assisting organization in the States. During all this time we considered Skarzyński a most useful man, and had the greatest admiration for his patriotism and energy. All his efforts seemed to be directed in furthering the Polish cause, and we never had any reason to believe that he had any selfish motives in this work. He was continually making trips between our camp and points in the United States on matters connected with the Polish Army. Whether he was recompensed for these expenses I do not know, but I do know that he never hesitated to spend money, apparently his own when he thought the Polish cause would be benefited.

I can only add that Skarzyński was of the very greatest assistance to us in the early stages of the Polish Army in America, and that his devotion and energy were important factors in enabling us to arrive at a working arrangement. I am glad to be able to make this statement for I feel that he certainly is entitled to some consideration for these efforts.

As you of course know this camp will shortly be broken up, a circumstance we view with regret for our relations with all the Poles have been most pleasant and we have developed the greatest admiration for the splendid men who have come through our camp. However we will follow with the greatest interest the events of Poland and we hope with you that the realization of the Poles will be speedily realized and that Poland will again occupy its former and rightful place among the great nations of the world.

ADL/S

Yours sincerely
A. D. Le Pan, Lt-Col
Commandant Polish Army Camp.

Pewną zwłokę w postępie dalszych prac spowodowały znowu bruźdzenia Horodyskiego w Washingtonie. W międzyczasie jednak prezes Starzyński, będąc w sta-

łem porozumieniu z prezesem Zachodnio-Europejskiego Związku Sokolego, druhem Wacławem Gąsiorowskim w Paryżu, otrzymał od tegoż druha Gąsiorowskiego wiadomość, że dzięki jego usilnym zabiegom i magicznemu słowu „Ameryka“, zdołał uzyskać dekret, ustanawiający Armję Polską we Francji, który brzmiał:

*Prezydent Rzeczypospolitej Francuskiej,
na skutek raportu Prezesa Rady Ministrów, Ministra Spraw
Zagranicznych i Ministra Wojny,
postanawia:*

Artykuł I. Formuje się we Francji na czas wojny Armja Polska autonomiczna, pod najwyższem dowództwem francuskim, walcząca pod sztandarem polskim.

Artykuł II. Organizacja i utrzymanie Armji Polskiej są zagwarantowane przez Rząd francuski.

Artykuł III. Przepisy, obowiązujące Armję francuską, a dotyczące organizacji, stopni, administracji i sądownictwa wojkowego, będą stosowały się i do Armji Polskiej.

Artykuł IV. Armja Polska będzie utworzona:

- a) z Polaków, służących w tej chwili w Armji francuskiej;*
- b) z Polaków innych kategorii, upoważnionych do przejścia do szeregów Armji Polskiej we Francji, lub do zaciągnięcia się na ochotnika na czas wojny pod znakiem Armji Polskiej.*

Artykuł V. Prezes Rady Ministrów i Minister Wojny mają polecenie, każdy w dziale jego dotyczącym, wykonać niniejszy dekret, który będzie ogłoszony w „Dzienniku Urzędowym“ Rzeczypospolitej Francuskiej i zamieszczonym w „Dzienniku Praw“.

Artykuł VI. Dalsze rozkazy ministerjalne uregulują zastosowanie niniejszego dekretu.

Dan w Paryżu dnia 4 czerwca 1917 roku

Przez Pana Prezydenta Rzeczypospolitej:

R. POINCARE.

*Prezes Rady Ministrów
Minister Spraw Zagranicznych*

(podpisano) A. RIBOT.

Minister Wojny

(podpisano) PAUL PAINLEVE.



Fotografia drugiej klasy kadetów polskich w szkole oficerskiej w Kanadzie, zdjęta w Camp Borden z okazji przyjazdu d-ra T. A. Starzyńskiego, prezesa Związku Sokołów Polskich w Ameryce. Siedzą z lewej ku prawej, stronie: porucznik W. Skarżyński, dr. T. A. Starzyński, druh J. Bartmański, druh W. Sulewski.



CERTIFICATE
OF
MILITARY QUALIFICATION
"PROBATIONERS".

This is to Certify that

PROBATIONER, M. A. Thompson

of the 1st Battalion, C.C.F.C.

was examined at Brussels on the 21st day of February 1917

and having passed the prescribed examination is qualified for the rank of

LIEUTENANT, in the Infantry of the Home Militia.

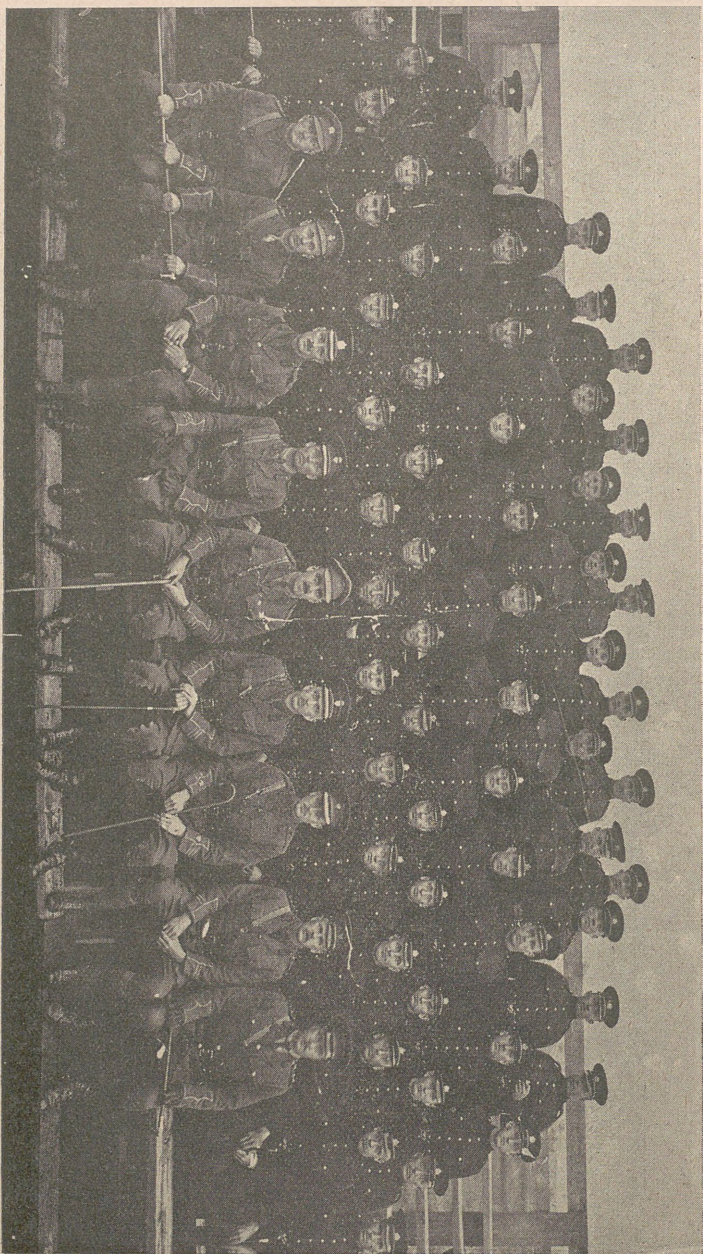
W. H. Smith
President of Board.
26 Feb 1917

A copy of this Certificate is sent to
Military Headquarters, Brussels
under No.

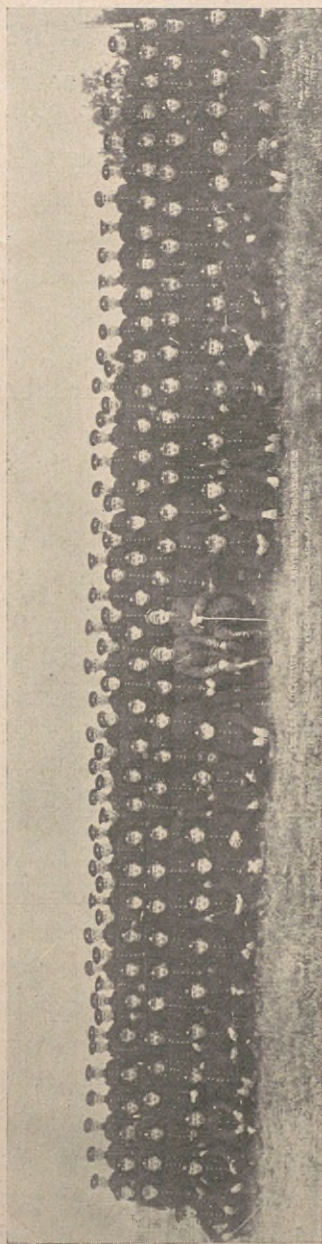
For Adjutant General.

M. F. C. VI.

100



Druga klasa ochotników polskich — „kadetów” — w szkole oficerskiej przy uniwersytecie w Toronto w Kanadzie. W pierwszym rzędzie sztab szkoły; z prawej strony ku lewej siedzą oficerowie angielscy jak następuje: porucznik Lewis, kapitan Kentick, major Madill, major Young — adiutant szkoły, pułkownik A. D. Le Pan — komendant szkoły, major Branford, major Kirk, porucznik Parr, porucznik W. Skarzynski.



Uczestnicy trzeciej grupy w Szkole Oficerskiej przy uniwersytecie w Toronto (Kanada)
z pułkownikiem A. D. Le Pan i porucznikiem W. Skarzyńskim.

To posunięcie było, oczywiście, uzgodnione pomiędzy Sprzymierzonymi, jak również uzgodnioną została sprawa armji polskiej i stosunku jej do Francji.

Wychowanków szkoły naszej w Kanadzie, kiedy doszły do nich wieści o zaszłych wypadkach, ogarnął szal radości. Bo też chwila była poważna, ponieważ, wskutek machjowelstw Horodyskiego i wynikłych stąd ociągów, w szeregi wychowanków szkoły zaczęła się wkradać dezercja; starałem się ukrócić ją całą siłą; usiłowałem przeciwstawić się opadaniu energii wszelkimi sposobami i zakłęciami na świętość sprawy i kreśleniem obrazów wolnej Polski.

W tym okresie zwiedzała komisja lustracyjna rządu kanadyjskiego szkoły wojskowe, między innymi więc zwiedziła i szkołę w Camp Borden. Po skończonej lustracji, wiceminister wojny Frazet, u którego byłem, opowiedział mi o nadzwyczaj dodatnim wrażeniu, jakie na władzach wywarł stan szkoły, i zapewnił mnie, że skutkiem tego szkoła i jej wychowankowie mogą liczyć na najszerze poparcie władz, wówczas zaś było już tych wychowanków pełny bataljon. Należy zaznaczyć, że ta Kanadyjska Oficerska Szkoła Piechoty („C. O. T. C.”) przeistoczyła się była zupełnie w rdzennie polską szkołę wojskową, prowadzoną oczywiście przez Anglików, ale ani jednego angielskiego ucznia w niej nie było.

W niedługim czasie wyjechałem do Stanów do Pittsburga; tu prezes Starzyński wezwał mnie do stawienia się na przyjęcie przez Sokolstwo przybywającego do Ameryki Wacława Gąsiorowskiego, poczem udałem się do Washingtonu, ażeby zdać sprawę o zawiązku Armji Polskiej przedstawicielowi Francji Franklin Bouillonowi, stojącemu na czele utworzonej przez rząd francuski specjalnej misji, w której brał udział również

Wacław Gąsiorowski. Z nim też stawiłem się na audjencję do Franklin Bouillona.

O dotychczasowym stanie organizacji początków Armji Polskiej w Ameryce nikt w Europie nie miał wła-

Pierwsza Misja Armji Polskiej z Francji do Stanów Zjednoczonych



Od lewej: Włodzimierz Szaniawski, podporucznik księżę Stanisław August Poniatowski i Henryk Rzekiecki.

W środku (siedzi) porucznik Wacław Gąsiorowski.

ściwie pojęcia. Sprawa ta była umyślnie przez niektóre czynniki w rodzaju Horodyskiego przemilczaną, lub zupełnie przekręcaną. Naczelne czynniki francuskie i polskie były nieuświadomione — tak, że najwięcej zagorzali

zwolennicy tej armji wpadali w zapale na rozmaite dziwaczne pomysły, jak np. chciano przewozić po kilkunasztu ludzi w cywilnych ubraniach z Ameryki do Europy. Wogóle było dziesięć różnych pomysłów, a pomiędzy niemi był projekt Gutowskiego, który chciał widzieć tworzącą się armję polską w jakimś neutralnym kraju (był on zresztą jednym z Polaków, godzących się ostatecznie na mój plan — jedenasty z rzędu). Kiedy pomysł mój wyłuszczyłem Franklin Bouillon'owi, stanowczo sprzeciwiający się wszystkim innym, zawołał z widocznym zadowoleniem: „Ach, jak to dobrze, że mam nareszcie do czynienia w sprawie wojskowej z żołnierzem“ (na przesłuchanie stawiłem się w mundurze angielskim). Mówiłem mniejwięcej w następujących słowach: „Panie Ministrze, mamy dotychczas pod opieką Sokolstwa Polskiego w Ameryce jedną szkołę podoficerską tu w Stanach w Cambridge Springs w Pensylwanji, liczącą z górą 250 wychowalców, kierowanych przez wyszkolonych już w Kanadzie oficerów; w Kanadzie zaś posiadamy około czterystu oficerów, zdolnych dowodzić kompanją, z tej liczby około dwudziestu może śmiało prowadzić bataljon; poza tem, kończą się kursy specjalizacji w piechocie; mogą one wydać oficerów zdolnych w zupełności do zorganizowania, wyćwiczenia i obsadzenia conajmniej dwudziestu bataljonów, — przy usilnem zaś szkoleniu tak zadziwiająco praktycznem — jak to czynią Anglicy — i więcej jednostek bojowych. Jeżeli rekrutacja dalsza przejdzie przez filtr tych szkół, wywrze to bardzo dodatni wpływ na przebieg dalszych zaciągów, tem więcej, jeżeli będą one urządzone manifestacyjnie, przy równoczesnym popisie istniejących kadr. Niebawem musi okazać się skutek tego rodzaju postępowania, ponieważ miejsce przeznaczone przez kanadyj-

skiego wiceministra wojny Frazet'a na obóz w Niagara-on-the-Lake znajduje się niedaleko ogromnego środowiska polskiego Buffalo, gdzie wychodzi siedm pism polskich. Jak tylko Polacy zobaczą, że naprawdę wykonywa się polska robota, gdy przekonają się naocznie, że polskie wojsko istnieje — sprawi to ogromne wrażenie; zresztą posiadam obietnicę p. wiceministra Frazet'a, że o ile okaże się potrzeba, to dla wyłącznych potrzeb wojska polskiego, władze kanadyjskie utworzą „Neutral Zone“ (Teren Neutralny)“.

Mój wywód niezmiernie podobał się Franklin Bouillon'owi. Zapytał mnie jednak, czy przeprowadzenie podobnego planu w Stanach byłoby pożądane. Odpowiedziałem, że owszem ze wszech miar należałoby sobie tego życzyć, „jednak — według mego zdania — wątpię, ażeby to mogło być urzeczywistnione“. Wówczas Franklin Bouillon ujął słuchawkę telefoniczną i połączył się z Sekretarzem Stanu R. Lansing'iem, zapytując go o powyższą materję. Lansing, jak przewidywałem, odpowiedział przecząco. Ten krótki epizod był jeszcze jednym z dowodów mojej dobrej informacji o całej sprawie tworzenia armji polskiej, tak, że po całej rozmowie Franklin Bouillon był już zupełnie mego zdania i stał się zupełnym zwolennikiem, jak sam się wyraził, tego jedyne go naprawdę wojskowego, rzeczowego planu. Zaraz też, po skończonej rozmowie, wydał stosowne polecenie, oddając wykonanie mego planu członkowi jego misji, podporucznikowi armji francuskiej księciu Stanisławowi A. Poniatowskiemu, z którym niezwłocznie wyjechałem do Kanady, do obozu w Camp Borden, poczem przedstawiłem go władzom i zdałem dowództwo nad szkołą. Pułkownik Le Pan, widząc wreszcie, iż plan mój w całej rozciągłości zaczął się urzeczywistniać, zapalił się

jeszcze więcej do pracy, włożył całą swoją umiejętność i cały swój talent w organizację szkoły i bataljonów i stał się niesłychanym przyjacielem żołnierzy polskich. Skutek uwieńczył jego pracę, w krótkim bowiem stosunkowo czasie, na obcym gruncie, z obcym żywiołem ludzkim, dokonał wspaniałego dzieła: położył węgiel pod budowę Polskiej Armji we Francji.

Wróciwszy do Pittsburga, opracowałem, w porozumieniu z dr. Starzyńskim i druham Samulskim, sekretarzem Związku Sokołów Polskich w Ameryce, plan rekrutacji, podzieliliśmy mianowicie cały obszar Stanów na dwanaście okręgów i, zebrawszy dwunastu wyborowych mężów zaufania, obsadziliśmy ich w owych dwunastu ogniskach, celem rozpoczęcia natychmiastowego poboru i wystania ochotników wprost do obozu, przeniesionego wskutek usilnych moich nalegań z Camp Borden do Niagara-on-the-Lake. Po odbytem posiedzeniu pod przewodnictwem druha Bartmańskiego, Sokola Komisja Wojskowa zakończyła swoją działalność, ponieważ prezes Starzyński, mając na względzie skupienie wysiłku całego wychodźstwa, uzgodnił dotychczasowe przygotowawcze prace Sokole z Wydziałem Narodowym, który reprezentował całe wychodźstwo w Ameryce, a więc wszystkie organizacje polskie narodowe tamże istniejące, jako to: Związek Narodowy Polski, Związek Sokołów Polskich, Zjednoczenie Rzymsko-Katolickie, Związek Polek i inne. Na skutek owego uzgodnienia Wydział Narodowy wyłonił z siebie Komisję Wojskową, w skład której weszli: 1. druh dr. T. A. Starzyński, jako reprezentant Sokolstwa; 2. T. M. Heliński ze Związku Narodowego Polskiego; 3. A. Znamięcki, specjalnie pole-



Pierwsza Sokola Komisja Wojskowa z prezesem T. A. Starzyńskim na czele; w polowych mundurach sokolich druhowie: J. Bartmański i J. Sierociński; W. Skarzyński w mundurze armji kanadyjskiej. Zdjęcie dokonane przed gmachem Szkoły Związkowej w Cambridge Springs — Pennsylvania.

cany przez mistrza Paderewskiego, człowiek ustosunkowany, ogromnej pracy i jeden z najlepiej zorjentowanych w Ameryce Polaków w sprawach finansowych. Wydział Narodowy powierzył tej Komisji Wojskowej bezzwłoczne rozpoczęcie rekrutacji ochotników na terenie Stanów Zjednoczonych i Kanady do Armji Polskiej we Francji, w myśl planu, opracowanego przez Związek Sokołów Polskich w Ameryce.

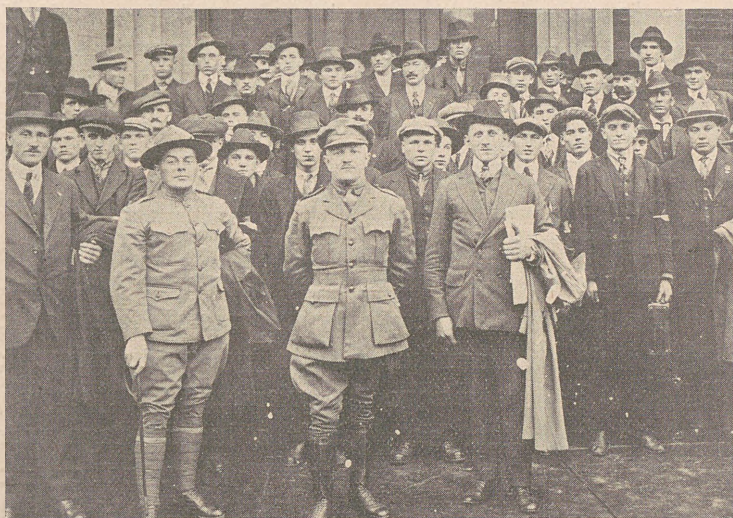
W tymże czasie, po ukończeniu swych czynności w Sokolej Komisji Wojskowej udałem się, z pole-

cenia prezesa Starzyńskiego, do największego ogniska Polonji Amerykańskiej — do Chicago i w przeciągu trzech tygodni wysłałem stąd do obozu w Niagara-on-the-Lake pierwszych 1,500 ochotników, urządzając równocześnie przy ich wyjazdach specjalnymi pociągami, głośnie manifestacje narodowe.

Tutaj muszę wspomnieć, że kiedy w tym okresie w Chicago byłem pierwszy raz zaproszony na zebranie Związku Narodowego Polskiego, zwróciłem się do prezydum tegoż Związku Narodowego z następującymi słowy: „Zacni Panowie! Sokolstwo, jako przednia straż w pracy tworzenia Armji Polskiej, natknęło się na przeszkodę; przeszkody tej bez znacznego wysiłku i bez waszej pomocy nie przebrnie. Dlatego też ja, w imieniu Sokoła, zwracam się do Was, Panowie Związkowi, na czele których stoi jeden z pierwszych Sokołów w Ameryce, druh Kazimierz Żychliński, zechciejcie przeznaczyć pewną sumę na rozpoczęcie owej wielkiej pracy, zanim Misja Francuska uporządkuje sprawy pieniężne, należy bowiem jak najprędzej odwieźć na miejsce przeznaczenia ochotników, niecierpliwących się z powodu nie wzywania ich do szeregów; wskutek zwłoki bardzo dużo ochotników wstąpiło już do szeregów amerykańskich. O ile więc chcemy stworzyć siłę polską, musimy dać możność Sokołom i innym Polakom, będącym poza tą organizacją, stanąć pod znakiem Białego Orła do walki z odwiecznym wrogiem Ojczyzny!“ Na to wezwanie Związek Narodowy Polski, największa organizacja polska narodowa na wychodźstwie amerykańskim, która wypielegnowała Sokoła, wyasygnował pieniądze i umożliwił mi poczynienie pierwszych kroków w Chicago, co niebawem odbiło się głośnem echem w całej Ameryce. Zasluga rozszerzenia wiadomości o całym przebiegu posiedzenia

i uchwale Związku przypada w udziale karnie zmobilizowanej polskiej prasie amerykańskiej.

Oprócz opisanego zebrania, zwołane było przez panią Paderewską w Chicago w tej samej sprawie zebranie kobiet polskich. Obrady były tak burzliwe z powodu opozycji, że zostałem zawezwany przez prezeskę i sekretarkę Związku Polek, p. Napieralską, ażeby uspokoić



Pierwsi ochotnicy polscy, zrekrutowani w Chicago — Illinois. Pośrodku porucznik W. Skarżyński.

awanturę, mogącą lada chwila przerodzić się w groźny skandal. Szczęśliwie udało mi się zajść to załagodzić i natychmiast się wycofałem. Na drugi dzień otrzymałem zaproszenie od państwa Paderewskich. Mistrz czuł się niezdrów i leżał w łóżku, przyjął mnie jednak bardzo uprzejmie. Podczas rozmowy zadziwił się mocno, że jestem dotychczas w wojsku kanadyjskim porucznikiem, kiedy powinienem być conajmniej kapitanem, i oświad-

czył, że gotów jest zaraz napisać do jednego z generałów, aby nominacja natychmiast nastąpiła. Podziękowałem serdecznie za uprzejmość i powiedziałem, że nie chcę tego i wolę dobijać się dalszych stopni na drodze służbowej. W ciągu dalszej rozmowy, nie przeczuwając zupełnie, że jest to tak drażliwa sprawa, poruszyłem błędy i zachowanie się Horodyskiego, wskazując na niego, jako na sprawcę zahamowania całej organizacji Armji Polskiej; „gdyby nie on — ciągnąłem — mielibyśmy już kilka tysięcy wyszkolonych oficerów i podoficerów“. „Jakto! Przecież to tak wpływowy człowiek w Wielkiej Brytanji!“ — zawołała pani Paderewska. Nie zważając jednak na to, mówiłem dalej.

Nieprzyjemna dla państwa Paderewskich, a i dla mnie w wysokim stopniu niemiła dyskusja, zbyt się przeciągała, wobec czego, tłumacząc się nawąłem zajęć, opuściłem dom państwa Paderewskich, pozostawiwszy u nich o sobie opinię awanturnika dlatego tylko, że mimo to, iż uważałem Paderewskiego za wielkiego patriotę polskiego, nie zgadzałem się jednak z ludźmi tego typu, jakimi byli otoczeni, — jednostkami, które na cudzym żołdzie służyły obcym mocarstwom, lub też które na rekrutacji pragnęły zrobić osobisty interes.

W przeciwieństwie do nich, należy podkreślić, że tak w Chicago, jak i w innych środowiskach polskich organizatorowie Armji Polskiej odznaczali się w owym czasie zaparciem się i całkowitem bezinteresownem oddaniem się świętej sprawie. Pracowano z przekonania, a nie za pieniądze, jak to było później, gdy agitatorom płacono po pięć dolarów dziennie. Do owych ideowych ludzi należeli druhowie: Adamczak, Dziób, Osielski, Sułewski, Wróblewski, Zielecki i wielu, wielu innych wychowawców szkoły oficerskiej w Kanadzie.

Opisując mą pracę przy rekrutacji pierwszych ochotników w Chicago, nie mogę przemilczeć zdarzenia, jakie miało miejsce w październiku 1917 r. w sali Walsh'a, kiedy przeciwnicy Armji Polskiej we Francji, zgrupowani w tak zwanym Komitecie Obrony Narodowej (K. O. N.), urządzili wiec w celu przeciwdziałania w organizowaniu Armji Polskiej we Francji na terenie Stanów Zjednoczonych Półn. Ameryki. Będąc zwolennikiem „tworzenia siły zbrojnej polskiej nawet z djabełm”, w myśl tego, co powiedział w swoim czasie Józef Piłsudski, pierwszy Marszałek Polski, udałem się na rzeczony wiec, postanawiając wytłómaczyć tym panom, że źle postępują. Lecz gdy jeden z nich, o ile sobie dobrze przypominam — p. Rajzacher, w swoim przemówieniu zaczął wygłaszać niedorzeczności, jak np.: „ani jedna kropla krwi polskiej nie powinna polać się w walce przeciwko Niemcom”, następnie, niewiedomo z jakich przyczyn i czem powodowany, nawoływał Polaków do wstępowania do armji amerykańskiej, zamiast do Armji Polskiej we Francji — nie mogłem słuchać dłużej tego rodzaju oświadczeń i stanowczo przeciw temu zaprotestowałem, w następstwie czego na sali powstało ogromne zamieszanie i, zanim zdołałem ponownie przyjść do głosu, ani obejrzałem się, jak zrekrutowani już ochotnicy Armji Polskiej we Francji opanowali salę i, oburzeni oświadczeniami organizatorów wiecu, siłą wyparli ich z estrady, przekształcając wiec przeciwników na wiec zwolenników Armji Polskiej we Francji, w dodatku zdobywając na tymże wiecu nowych rekrutów. Oczywiście, przeciwnicy Armji Polskiej we Francji, przypisując mi świadome zorganizowanie całego napadu na ich wiec, usiłowali spowodować zaareztowanie mnie przez tamtejszą policję, co jednak im się nie udało. Zaskarżyli mnie później do sądu, gdzie także



Druga partja ochotników polskich, zrekrutowanych w Chicago — Illinois.
Fotografia zdjęta na stopniach kościoła Św. Trójcy w Chicago, z mistrzem Paderewskim.

sprawę przegrali, udowodniono im bowiem akcję pro-niemiecką. Wyrok był równoczesnem uniewinnieniem mojej osoby i daniem mi satysfakcji za to, że będąc człowiekiem bezstronnym, nie miałem nic innego na względzie, jak tylko pracę dla Polski, wytěżając cały wysiłek w kierunku tworzenia siły zbrojnej, nie bacząc na to, czy narażam się jakimkolwiek grupom lub jednostkom.

Zwyciężając liczne trudności, wykonałem całą trudną pracę rekrutowania pierwszych ochotników polskich w Chicago; ponieważ zaś pierwszy okres pracy tej był już skończony, czując się nieco swobodniejszym, zażądałem od d-ra Starzyńskiego przyrzeczenia, iż pojedę do Francji z pierwszym oddziałem. Nie chciano się na to zgodzić, zamierzając użyć mnie w dalszym ciągu do pracy organizacyjnej na miejscu, ja zaś czułem, że dłużej w Ameryce zostać nie mogę: serce moje rwało się do Polski, nie mogłem się wprost doczekać chwili, kiedy wraz z naszą Armją Polską z Ameryki stanę na gruncie europejskim, by tam wywalczać niepodległość Polsce. Porwany patryjotyzmem, nie byłem w stanie myśleć o sobie. Nie myślałem o tem, że młodziutką, niedawno poślubioną, żonę pozostawiam samą na drugiej półkuli; nie myślałem wtedy o tem, że, pragnąc całą duszą jak najprędzszego wyjazdu do Europy ze świeżo-zorganizowaną Armją Polską, pod którą przecież kładłem podwaliny, tracę swoją rangę porucznika, stając się na nowo szeregowcem... Było mi wszystko jedno, chciałem jak najprędzej zetknąć się z wrogiem — chciałem wyrwać mu to, co Ojczyźnie zagrabił...

Organizację wojska polskiego w tym czasie objął przybyły z Washingtonu do obozu w Niagara-an-the-Lake pułkownik Martin, członek „Mission Militaire Francaise“ (Francuskiej Misji Wojskowej), t. j. przedstawiciel sztabu generalnego Francji w Stanach Zjedn. Ameryki Półn.

Chcąc jak najprędzej wyjechać, zrezygnowałem ze stopnia porucznika w wojsku kanadyjskim i w charakterze prostego szeregowca oddałem się do dyspozycji pułkownika Martin'a. Na przedstawienie pułkownika Le Pan'a wciągnięto mnie na pierwszą listę, jako dowódcę jednej z czterech kompani pierwszego bataljonu kanadyjskiego, na czele której wraz z całym bataljonem udałem się do St. Johns w prowincji Quebec w Kanadzie dla przygotowania bataljonu do odjazdu. Zostałem mianowany zastępcą przydzielonego nam komendanta księcia Stanisława Augusta Poniatowskiego.

Chwila oczekiwana nareszcie nadeszła. Dnia 16-go grudnia 1917 roku okręt „Niagara“, żegnany przez tych, co wiedzieli o odejście pierwszego bataljonu, składającego się z około 1000 ochotników polskich, odpłynął z portu Nowojorskiego do Francji. Podróż tego pierwszego oddziału Armji Polskiej do Francji napewno można zaliczyć do jednej z najwspanialszych chwil z tego okresu. Twarze chłopców naszych zawsze były uśmiechnięte, nikomu przez myśl nie przychodziło, że może być w jakimkolwiek niebezpieczeństwie, radowali się, że zdążają na drugą półkulę, by pomścić tam krzywdy przodków, by zatknąć wkrótce sztandar wolności na naszych własnych ziemiach. Należy zaznaczyć, że w owym czasie nie było nic nadzwyczajnego spotkać się z nieprzyjacielską „submaryną“, miną lub innemi niespodziankami. Wigilję i pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia, pamiętam, spędziliśmy bardzo wesoło na okręcie. Ksiądz kapelan Jaworski podczas naszej podróży odprawił z pobożnem skupieniem na pokładzie okrętu dwie Msze Święte, a Pasterkę w pierwszy dzień świąt w sali jadalnej okrętu, co wywarło wielkie wrażenie na naszych chłopcach.

Dnia 27 grudnia 1917 r. przybyliśmy do Bordeaux. Nazajutrz zaczęliśmy lądować. Na przyjęcie i powitanie przybył szef sztabu Misji Francusko-Polskiej pułkownik Mokiejewski, major Radziwiłł, kapitan Jagniątkowski i porucznik Rodzyński z dwunastoma trębaczami, specjalnie przysłanymi dla zagrania fanfary, oraz z bataljonem Senegalczyków — zdaje się pierwotnie przeznaczonym przez władze wojskowe francuskie do ujęcia w karby niesfor-



Przegląd pierwszego bataljonu ochotników z Ameryki przez pułkownika Mokiejewskiego w Bordeaux, we Francji.

nych Polaków — wreszcie przedstawiciele władz. Wspaniała i niezapomniana była chwila, gdy statek zbliżał się do brzegu, gdzie stali trębacze, grający „Jeszcze Polska nie zginęła“, a na pokładzie masa ochotników, już uszykowanych w szeregi, zaintonowała w takt za trąbkami słowa hymnu. I znowu wzruszający moment — statek przymocowany — sygnał lądowania — bataljon ustawia się na moją komendę w szyk zwarty, oddając raport szefowi

sztabu pułkownikowi Mokiejewskiemu, otrzymuję rozkaz odprowadzenia bataljonu do koszar. Na komendę: „bataljon, baczność!“ obcasy zestrzeliły się w jeden trzask, podobny armatniemu wystrzałowi,—na sygnał oddział ruszył do przeznaczonych koszar z nadzwyczajną werwą. Łamanie szeregów w kolumny czwórkowe, takt uderzeń nóg o ziemię, równanie i krycie było tak sprawne, że odnosiło się wrażenie, jak gdyby poszła stara gwardja Napoleońskiej Legji Nadwiślańskiej. Na twarzach przybyłych z za oceanu żołnierzy i oficerów malował się wyraz ogromnej radości i zdawało się, że usta tych prawdziwych patriotów mówiły: „Już jesteśmy blisko celu urzeczywistnienia naszych marzeń — zrealizowania prawdziwej polskiej siły-zbrojnej!“



Generał Archinard.

Oficerowie z wojskowej misji francusko-polskiej byli zdumieni wyćwiczeniem i wyglądem bataljonu, o czym po ulokowaniu jego w koszarach zwierzali się na wspólnej wieczery w Hotelu Bayon. Tutaj postanowiono, że nazajutrz obejmie dowództwo nad bataljonem i powiezie go do La-

wał porucznik Rodzyński, mnie zaś szef sztabu misji woj-
skowej francusko-polskiej zaproponował pojechać do Pa-
ryża, ażeby przedstawić mnie naczelnikowi tejże misji
generałowi Archinard'owi.

Po przedstawieniu się w Misji, powiadomiono mnie,
iż audjencja u premiera i ministra wojny Clemenceau
naznaczona jest na 4 stycznia 1918 r. — Od tej chwili
zaczął się kłębić splot intryg około mojej osoby; pułk.
Mokiejewski zabronił jakiegokolwiek bądź styczności z Ko-
mitetem Narodowym Polskim... Wszystko to razem
było powodem, że po porozumieniu się z mecenasem
K. Sypniewskim, którego Wydział Narodowy w Stanach
wysłał umyślnie do Francji, aby baczył, co z nami będą
robić i co dzieje się z pieniędzmi, zebranymi przez Po-
lonję Amerykańską — udałem się wprost do Polskiego
Komitetu Narodowego w Paryżu na Avenue Kleber
Nr. 11, do mieszkania ordynata Zamojskiego, i tutaj bez
ogródek przedstawiłem całe położenie, chcąc przeciąć
wszelkie nieдомówienia, półsłówka i intrygi. Człon-
kowie Komitetu Narodowego przedewszystkiem odma-
lowali w najczarniejszych barwach osobę pułkownika
Mokiejewskiego i zapytali wprost: „Poco wyście tutaj
przyjechali bez naszej wiedzy — przecież Gąsiorowski
jest uzurpator...?” Nie rozumiejąc ani zapytania, ani wo-
góle całej treści tych wywodów, odpowiedziałem po
żołniersku — „że przecież w Ameryce w imieniu Kom-
itetu Narodowego działa i rozporządza Ignacy Pade-
rewski... Że myśmy, to znaczy, Starzyński (Pittsburg)
i Gąsiorowski (Paryż), zmusili go właściwie do poparcia
akcji sokolej... Nie było żartów. Wypadki bowiem
nagliły, czyż można było żartować naprzykład z 50 000
Polaków, zgromadzonych w Humboldt Parku w Chicago,
żądających tworzenia siły zbrojnej polskiej „nawet z dja-

błem, byle prędzej? "... Wówczas wysłano alarmujący telegram do Paderewskiego i tym sposobem, mając ochotników i rzesze ludu polskiego gotowe do czynu, zmusiło się również i Paderewskiego do współdziałania. Ludzi niezdecydowanych, albo mało zdecydowanych można zmusić do czynu tylko faktem dokonanym. — W tem miejscu zwróciłem się do Romana Dmowskiego, Marjana Seydy, prof. Rozwadowskiego i ordynata Zamojskiego i rzekłem: „Należy liczyć się z wolą narodu, należy liczyć się z tymi jednostkami, które bez jakiegokolwiek obcej pomocy, same zorganizowały na drugiej półkuli czyn zbrojny polski i rozumiały może niegorzej od panów jego wartość i istotę; sądzę zatem, że nie należałoby czynić trudności w tej sprawie, lecz uzgodnić wysiłki wszystkich, komu dobro Ojczyzny leży na sercu...” W dalszym ciągu podniosłem szereg szczegółów technicznych i finansowych i oświadczyłem kategorycznie, iż bardzo źle się stało, że organizację siły zbrojnej polskiej oddaje się bez zastrzeżeń w ręce Francuzów. „Osobiście twierdzę, że o ile chodzi o technikę organizacyjną wojska, większe wyniki byłyby, gdyby użyto instruktorów angielskich lub amerykańskich, uzgadniając szczegóły samego wyszkolenia z Francuzami, uważam bowiem że Francuzi w pracy organizacyjnej działają ze ślamazarnością i opóźniają nas tylko w całej naszej sprawie. Dzięki tej opieszałości setki tysięcy Polaków zamiast do swoich szeregów, wstąpiło do armji amerykańskiej. Trudno, ja sam przeciwdziałać nie mogę i muszę, jako karny Sokół, podporządkować się innym, lecz na Boga, musicie, Panie Prezesie, zająć się armją istniejącą, bo dotychczas panuje zupełny brak postanowienia i jakiegokolwiek planu. My zaś, ze swej strony, zwłaszcza mecenas Sypniewski, zrobimy wszystko, ażeby Polacy-Amerykanie dali carte-blanche Komitetowi Narodowemu w Paryżu.”

Kiedy nadszedł dzień naznaczonej audjencji u premiera Francji, stawilem się punktualnie dnia 4-go stycznia 1918 roku. Wszedłszy do gabinetu, spostrzegłem starca bardzo jeszcze rzeźkiego i dobrze trzymającego się, o bystrych oczach i żywych ruchach. Premier na wstępie przywitał mnie w uprzejmych słowach po francusku. Przeprosiłem go, iż władając lepiej językiem angielskim, ośmielę się posługiwać się tymże. Clemenceau odpowiedział doskonałą angielszczyzną, że może mnie to nie krępować i odrazu zaczął od pochwał oddziału polskiego i jego sprawności i zapytał: „Zapewne już za Oceanem szykowaliście się do boju z naszym wspólnym wrogiem?...“ Odpowiedziałem potwierdzająco i dodałem, że moglibyśmy dać daleko więcej ochotników, gdyby w Misji Francuskiej w Ameryce panowała sprawniejsza organizacja i „jeszcze jedno, Panie Premierze, mianowicie, gdybyśmy posiadali pewność, że się tym razem i wogóle nigdy nie powtórzy St. Domingo!...” „To w żadnym wypadku nie może być“ — żywo odpowiedział Stary Tygrys — „to już nie są czasy Napoleona.“ Następnie poruszone były sprawy samej organizacji wojskowej, na które premier, jako równoczesny minister wojny, kładł szczególniejszy nacisk, poczem, weszliśmy raczej na tor politycznej rozmowy. Clemenceau zapytał mnie, kogo uważamy za swego wodza narodowego. Zastanowiłem się chwilę i odpowiedziałem: „Niestety, trudno wymienić jednego, gdyż pierwszy siedzi w twierdzy, więziony przez Niemców, a drugi w Paryżu“. Po tych słowach spostrzegłem zdumienie na twarzy premiera; szybko nerwowym ruchem poprawił czapkę na głowie i rzekł żywo: „Pierwszy raz spotykam się z podobnem zdaniem na ustach Polaka, gdyż wszyscy, z którymi się dotychczas zetknąłem, wysuwali zawsze tylko jednego, np. dr.

Motz jedynie był oddany Piłsudskiemu, inni, np. hr. Zamoyski, uważają tylko Dmowskiego za swego narodowego przywódcę". Widziałem, że mój obiektywny punkt widzenia bardzo się „Tygrysowi“ podobał. „Z takim zapatrywaniem — dodał w końcu — możecie, jak sądzę, wśród Polaków daleko więcej zdziałać niż dotychczas". Premier pożegnał się ze mną, mogę rzec, serdecznie i ani się spostrzegłem, że zwykły okres czasu przeznaczony na urzędowe audjencje dawno minął. Ze zdziwieniem patrzano na mnie, bo przesłuchanie przeciągnęło się do blisko 30 minut. W misji wojskowej francusko-polskiej, u niektórych członków, wywołało to pewnego rodzaju zazdrość, co zresztą przeczuwałem.

Mecenas Sypniewski, kiedy zdałem mu sprawozdanie z mego wystąpienia, zgodził się ze mną w zupełności i dzięki swym stosunkom w ambasadzie amerykańskiej w Paryżu przesłał natychmiast raport do Ameryki. Już w lutym w roku 1918 Komisja Wojskowa z doktorem Starzyńskim na czele przesłała do francuskiego ministra spraw zagranicznych Pichon'a pełnomocnictwo dla Romana Dmowskiego do przemawiania w imieniu rodaków, którzy przyjechali na pole walki zmanifestować gardłem, że Polska znajduje się wśród narodów, walczących przeciw Niemcom. Skutkiem wszystkich owych posunięć niebawem szefem sztabu Misji francusko-polskiej został mianowany pułkownik Vaschoux zamiast dotychczasowego szefa sztabu tejże Misji pułkownika Mokiejewskiego — i zdarzyło się tak, że kiedy Dmowski, rewizytując generała Archinarda, wchodził do Misji jednymi drzwiami, to drugimi wyszedł z niej na zawsze pułkownik Mokiejewski. Należy zaznaczyć, że ten ostatni był fatalną ofiarą swojej naiwności politycznej. Z jednej bowiem strony był bardzo pomocny Gąsiorowskiemu, wyzy-

skując w najlepszej wierze swoje wpływy i znajomości z rosyjską dyplomacją, jeszcze wówczas w Paryżu bardzo potężną, i nie kto inny tylko on nakłonił Milukowa do wysłania depeszy do rządu francuskiego, umożliwiającej tworzenie oddziałów polskich we Francji,—z drugiej zaś strony Ignatjew liczył wiele na to, że uda się złapać gorących Polaków z Mokiejewskim na czele, ażeby stworzyć „Słowiańskie Legjony“ dla swoich późniejszych, wyłącznie rosyjskich celów. Takie było zresztą o Mokiejewskim zdanie Gąsiorowskiego i innych ideowo z nim pracujących jednostek. Mokiejewski wkrótce otrzymał rozkaz udania się na front, wstąpił do szeregów francuskich i odtąd przerwała się jego łączność z Misją francusko-polską. Mokiejewski był jednym z wielu smutnych niestety przykładów niezgodnień w samem zaraniu polskich poczynań odbudowy własnego państwa, lecz, według mego zdania, był to człowiek szczerze sprawie polskiego wojska oddany, a przez polską zacięłość partyjną może nawet bardzo ciężko skrzywdzony.

Przykład zły szedł z góry i powodował rozdzźwięk między społeczeństwem, co odbijało się na wojsku. Jednym z przykładów braku silnej zdecydowanej linii czołowej był następujący epizod. Będąc, w misji pewnego razu przybyła delegacja pierwszego pułku z Ameryki, złożona z podporuczników Mateckiego, Trawińskiego i Wronowskiego, nasrożona przeciw Mokiejewskiemu — osoba jego bowiem dla mniej wtajemniczonych była symbolem braku wiary w urzeczywistnienie polskiej armji. Gwałtowna niechęć przeciw Mokiejewskiemu ujawniła się natychmiast po przedstawieniu jego przybyłym, tak dalece, że jeden z podporuczników (urodzony w Ameryce) gotów był Mokiejewskiego zastrzelić. Dla

bezpieczeństwa musiałem też rzucającego się kolegę wstrzymać za rękę. Po krótkiej rozmowie zabrałem delegację do Komitetu Narodowego do prezesa Dmowskiego, co podziałało na nią bardzo uspakajająco. Dmowski oficerów upomniął bardzo energicznie, poczem



Pułkownik Mokiejewski.

delegacja, udobruchana, wróciła do pułku. Niebawem przybyła druga delegacja z podporucznikiem Rowińskim na czele i przeszła ten sam proces uspokojenia.

Widząc tryumfalne wejście Dmowskiego do Misji Francusko-Polskiej wielce się cieszyłem, że wreszcie kończy się okres chwiejności, i zaczyna się realna

uzgodniona praca — ciągnęło mnie do pułku, na front, tęskniłem do tych, których niedawno nawoływałem do walki z wrogiem. To też stanąłem do raportu przed generałem Archinard'em, prosząc go o wysłanie mnie do pułku. Uważałem mój postępek za wskazany jeszcze z tego powodu, że widziałem, jak nadzwyczaj patryjotyczny i karny był ów żywioł polski, rekrutowany z wychodźczych mas, lecz równocześnie znałem braki jego umysłowego przygotowania, rodzący nieufność i podejrzliwość, ujawniającą się w jaskrawo przytoczonych wyżej wypadkach, podłoże zaś tych wypadków było zawsze jedno i to samo: obawa przed sprzedażą Francuzom żywej krwi polskiej. Zresztą byłem pewny, że po przybyciu mojem na front uda mi się zaprowadzić porządek w obozach dokąd przyływało co kilka tygodni mniejwięcej po 1000 ochotników z Ameryki, a o których raz po raz nadchodziły trwożne (zazwyczaj przesadzone) wieści. Opowiadano sobie o niestosownem zachowaniu się ochotników, zamilczano jednak fakty nieodpowiedniego organizowania ich przez Francuzów, lub żydów francuskich, tym zaś przeważnie powierzano rachmistrzostwo w obozach i kompanjach; stanowisko rachmistrza było ważne, ponieważ rachmistrz prowadził wszelkie rachunki dotyczące zaopatrywania w żywność obozów i w ohydny sposób nadużywał swej władzy, wyzyskując brak znajomości stosunków miejscowych i nieznajomość języka francuskiego.

Na audjencji u generała Archinarda byłem wraz z profesorem Wincentym Lutosławskim. Kiedy przedłożyłem mu motywy mej prośby odesłania mnie do pułku, generał przychylił się do niej i opatrzył mnie dokumentem, jako wysłannika „Mission Speciale“ (Specjalnej Misji) do przeglądu obozów.

État-Major de l'Armée

Mission Franco-Polonaise

ORDRE DE MISSION

Monsieur SKARZYŃSKI Sous-Lieut. au 1-er Rgt. de Chasseurs Polonais détachée de la Mission Militaire Franco-Polonaise est chargé (1) de Mission Speciale à Laval, Mayenne et Sillé-le-Guillaume.

Il partira de Paris par (2) dan fevrée le 4 Fevrier 1918 à 20 heures 8'.

Il rentrera à Paris, sa mission terminée (3) le..... partant de (4) Sillé-le-Guillaume (Sarthe).

Il aura droit aux indemnités prévues par le règlement sur les frais de déplacement.

Nº de l'ordre de transport: aller
délivré : retour

Retour à Paris le
à h

Le Titulaire
S/Lt. W. Skarzyński.

Paris, le 4 Fevrier 1918.

Le Général Archinard
Chef de la Mission Militaire
Franco-Polonaise.

Le Chef d'Etat-Major Vachoux.

- (1) — Enumérer sommairement la mission à remplir ou le service à exécuter.
- (2) — Voie ferrée, voiture, automobile etc.
- (3) — Mention à biffer s'il y a lieu.
- (4) — Indiquer la gare de départ au retour.
- (5) — A compléter par le titulaire à son retour.

Po tygodniowym ich objeździe i uspokojeniu tu i owdzie wzburzonych umysłów, zdałem raport generałowi i podniosłem konieczność naznaczenia dowódcą Polaka i to doświadczonego żołnierza, conajmniej w randze pułkownika, a nadto o czysto polskim nazwisku, ponieważ ochotnicy do innego nie będą mieli zaufania. Taki dowódca, zdaniem mojem, musiał koniecznie ująć

całość organizacji w żelazne karby dyscypliny wojskowej. Muszę zaznaczyć, że w przedstawieniu mych uwag był bardzo pomocny wspomniany pułkownik Mokiejewski, gdy był jeszcze swego czasu szefem sztabu, a rozumiejąc moje zamiary i wykazując duży zasób dobrej woli, dopomógł w mianowaniu dowódcą pierwszego pułku pułkownika Jasińskiego, jednego z najzdolniejszych Polaków w armii francuskiej, posiadającego wszelkie za-



Pułk. Jasiński



Płk. Korszun-Osmołowski Mikołaj



Płk. S.G. Piekarski Wacław

Twórca pierwszego pułku Armii Polskiej we Francji pułkownik Jasiński oraz jego następcy: pułk. Korszun-Osmołowski i pułk. Piekarski.

lety wodza, szeroką wiedzę i znakomity talent organizatorski. Niestety i tutaj znowu wystąpił błąd Komitetu Narodowego w całej pełni. Ponieważ pułkownik Jasiński nie rozumiał, jako prawdziwy żołnierz, podporządkowywania się jakimkolwiek kierunkom partyjnym, Komitet Narodowy wszelkimi siłami starał się go zdyskwalifikować. Z tego powodu też miałem ostre starcie z Dmowskim i z Francuzami, mówiąc im wręcz „Polacy nie są Senegalczykami, lecz są Narodem takim samym, jak i Naród Francuski“.

Pułkownik Jasiński, po doskonałym wyszkoleniu pierwszej dywizji wojska polskiego, wrócił do armji francuskiej. Owa dywizja (obecnie XIII-ta) dała w późniejszym okresie dowody swej bitności w walkach z Budienym pod Dziunkowem, Ostropolem, Starym Konstantynowem, Lwowem, niwecząc go pod Zamościem. Tutaj właściwie były zebrane plony gorliwej pracy pułkownika Jasińskiego. To też, zdaniem mojem, było wielką niesprawiedliwością, że wojskowość polska, zamiast szukać obcych bogów, niezapropomowała temu dzielnemu dowódcy, potomkowi oficera 31 roku, przyjęcia udziału w pracy nad utrwaleniem i organizacją siły zbrojnej polskiej.

Kiedy kierownictwo polityczne było w rękach Komitetu Narodowego, a kierownictwo wojskowe objęła „Francusko-Polska Misja Wojskowa“, uważałem, iż moje miejsce jest w dalszym ciągu w pułku. To też, objaśnwszy o mojem postanowieniu pułkownika Vaschoux, który jak wspominałem, został mianowany na miejsce pułkownika Mokiejewskiego, zostałem odkomenderowany z powrotem do pierwszego pułku, dokąd wyjechałem 3-go kwietnia 1918 roku. Tutaj pułkownik Jasiński przydzielił mnie do piątej kompanji, gdzie jednocześnie

zastępowałem dowódcę kompanii porucznika Krzywkowskiego-Wolańskiego.

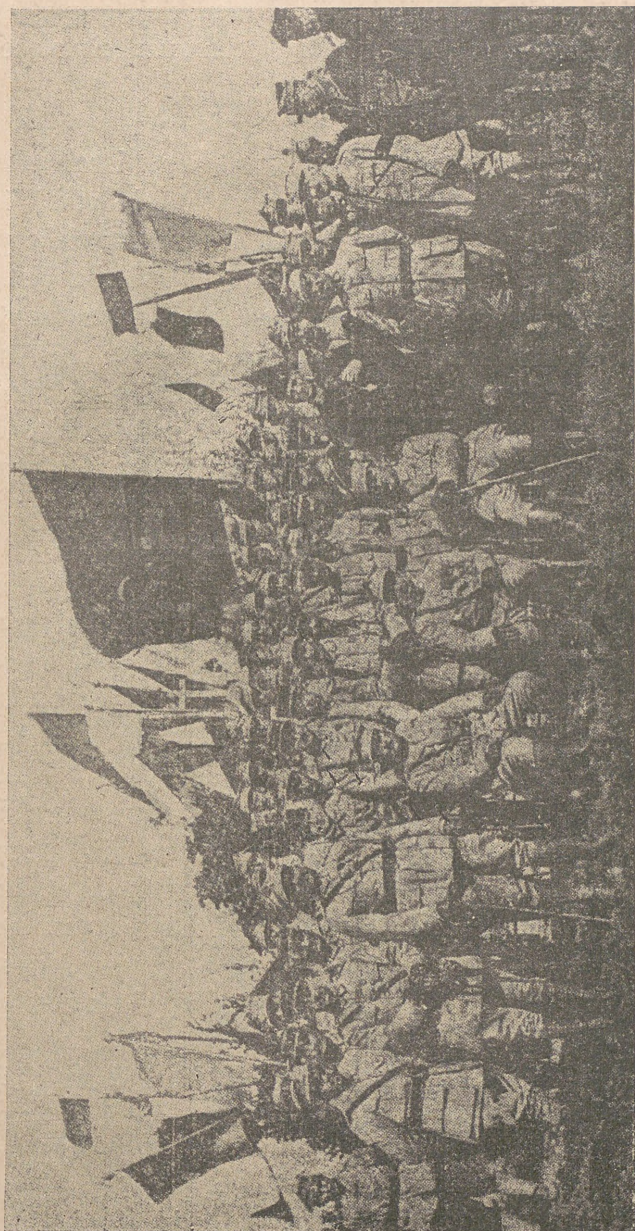
W dniu mego przybycia, pułk wyruszył z Laval i Mayenne do „Camp de Mailly dans la Zone des Armées” do strefy operacyjnej w rejonie IV-tej Armji, działającej w Szampanji pod dowództwem Generała Gouraud.

Po ulokowaniu się i zorganizowaniu naszego pułku, przyjechał na pierwszą inspekcję tegoż generał Franchet d'Esperey, dowódca grupy, wchodzącej w skład IV armji francuskiej. Gdy pułkownik Jasiński oznajmił, iż przyjeżdża do nas ów generał, zaroilo się jak w ulu od przygotowań gorączkowych do przyjęcia tak zacnego gościa. Następnego dnia cały nasz pierwszy pułk ustawił się jak pod sznur i oczekiwał przybycia generała Franchet d'Esperey. Nareszcie na drodze ukazał się samochód a w nim zacny gość w asyście szefa swego sztabu i kilku innych oficerów. Przywitany przez naszego pułkownika, począł razem z nim przybliżać się do naszego pułku — zabrzmiała komenda pułkownika: „Panowie Komendanci, proszę kolejno prezentować broń.” Natychmiast komenda komendanta pierwszego bataljonu wzniosła las bagnetów ramieniem naszego polskiego chłopca i bataljon po bataljonie, w miarę zbliżania się generała, prezentował broń. Kiedy generał ukończył przegląd, cały pułk zaśpiewał: „Boże coś Polskę...”, poczem generał wezwał wszystkich oficerów całego pułku, wypytując się nas każdego z osobna, skąd pochodzimy i jakie posiadamy doświadczenie wojskowe, potem, przemawiając do nas, oświadczył: „Dziś świat zrozumiał położenie Polski, a szczególnie rozumiała je Francja i dlatego daje Jej możność tworzenia siły zbrojnej” — i ciągnął dalej — „Panowie, dałem Wam jednego z najlepszych oficerów całej Armji Francuskiej, Waszego rodaka, pułkownika

Jasińskiego i muszę, znając Was, podkreślić, że Wy, którzy zakładacie węgly pod wojsko polskie, musicie zrozumieć tę wielką prawdę, iż wojsko tylko wtedy będzie naprawdę wojskiem i będzie mogło zdalnie służyć swej Ojczyźnie, jeżeli będzie przestrzegać dyscypliny. Podkreślam to dlatego w przemówieniu mojem, do Was Panowie oficerowie, ponieważ Wy Polacy, mając przerwana nić tradycji wojska narodowego, musicie zwrócić baczną uwagę na pilne przestrzeganie owej karności, musicie ją sobie wziąć za naczelne hasło całej organizacji wojskowej i podstawę siły oraz przyszłości Waszej Ojczyzny. Zwracam się zwłaszcza tutaj do Was, Panowie oficerowie I-go pułku, ażebyście świecili przykładem cnót żołnierskich wszystkim polskim bojowym jednostkom, jakie oprócz Was się organizują...” Zakończył swą mowę oświadczeniem, że zupełnie wierzy, iż Polacy, walcząc dziś za swoją i całej cywilizacji równość i niepodległość u boku Francji, będą mogli przypomnieć, jak walczyli ongi za wolność innych narodów...

Z kolei odbyła się defilada. Cały pułk przemaszerował przed generałem i jego sztabem, a po defiladzie zwołano wszystkich oficerów i jeden ze sztabowców zdjął fotografię całej grupy. W chwili, gdy ustawialiśmy się do fotografji, rzuciłem okiem na cały nasz pułk. Wzrost tegoż w tej chwili chwycił mnie mocno za serce. Duszę porywała radość, że przecież to pierwszy pułk, to kamień węgielny Wojska Polskiego, a nie mogąc powstrzymać łez radości, szeptałem z otuchą: „nareszcie, nareszcie i ja jestem w prawdziwym wojsku polskiem!..“

Wypadki mknęły szybko. Dla ostatecznego wyspecjalizowania podoficerów przysłano porucznika Francuza Le Doux, wykształconego w Polsce. Potem pułkownik



Grupa oficerów Pierwszej Dywizji Armji Polskiej we Francji z pułkownikiem Jasińskim,
dowódcą I-go pułku.

Jasiński ściągnął z IV-tej Armji Francuskiej grupę specjalistów mówiących po angielsku, celem uzupełniającego przeszkolenia oficerów.

W końcu kwietnia 1918 r. pułk przesunięto do Somepuis. Tutaj na uroczystości 3-go maja Mszę Polową odprawił kapelan pułkowy, wielki patryjota, ksiądz Więckowski. — Znakomity kaznodzieja umiał największych urwisów skruszyć i zmienić na pokorne owieczki. Współpraca tego kapłana i pułkownika Jasińskiego wydała wspaniałe owoce przy tworzeniu kadr bojowych Armji Polskiej we Francji.



Porucznik Lucjan Chwałkowski, który pierwszy z amerykańskich ochotników padł na polach Szampanji.

Z czasem pułk pierwszy okrywa się nieśmiertelną chwałą w bojach w Szampanji, w Sector Fabre, gdzie zginął pierwszy Amerykanin, mój serdeczny przyjaciel (który po mnie objął miejsce w 5-ej kompanji), podporucznik Chwałkowski, swego czasu należący do pierwszej grupy tak zwanych popularnie w Ameryce „Kanadyjskich Straceńców;“ pod St. Hiller 25 lipca 1918 r. piąta kompanja tego pułku



Grupa oficerów i gości na obchodzie drugiej rocznicy Pierwszego Pułku w Związku z pułkownikiem Wacławem Piekarskim na czele (pośrodku w pierwszym rzędzie).

zostaje wymieniona w rozkazie dziennym Armji, poruczyk otrzymuje dekorację francuskiego krzyża wojny, zastępca zaś dowódcy bataljonu, kapitan Piekarski, wówczas również był wymieniony w rozkazie dziennym Armji i udekorowany francuskim krzyżem Legji Honorowej oraz krzyżem wojny z palmą. Należy nadmienić, że ów kapitan Piekarski, obecny pułkownik, okazał wówczas mnóstwo zimnej krwi, spokoju i taktu. Zaprawiony ongi do pracy narodowej w szeregach konspiracyjnych, rozumiał on duszę żołnierza i wyczuwał potrzeby duchowe owej masy, zebranej z różnych kątów Ameryki i całego świata, a jako jeden z wykształceńszych oficerów, umiał ją w karne przerobić szeregi. Niebawem otrzymał nominację na dowódcę pierwszego pułku.

Pierwszy pułk nasz składał się z kilkunastu Bajończyków, z Polaków-Sokołów z Ameryki, Poznańczyków, później włączono do pułku kilkuset t. zw. „Holendrów“ (była to młodzież polska przeważnie z Warszawy i Łodzi, zabrana gwałtem do prac w Niemczech). Owi „Holendrzy“ kiedy dowiedzieli się o istniejącej Armji Polskiej we Francji, przy każdej nadarzającej się sposobności uciekali przez Holandję do Anglii, gdzie w ekspozyturze Wojskowej Misji Francusko-Polskiej zaciągali się do szeregów Armji Polskiej we Francji. Stanowili oni element niespokojny, w boju jednak odważny. Wreszcie w pułku znajdowali się Polacy z byłych formacyj rosyjskich w Salonikach, ze swym dowódcą Piekarskim, późniejszym pułkownikiem. Polacy-Amerykanie (siedmdziesiąt pięć procent) byli żywiołem założycielskim i magnesem przyciągającym wszystkie inne grupki i jednostki do wojska polskiego we Francji.

Ochotników z Ameryki przybywało coraz więcej. Transporty napływały mniej więcej co dwa tygodnie,

to też formowały się z nich coraz to nowe pułki, potem dywizje. Drugi pułk pod dowództwem pułkownika Bereckiego z armji francuskiej i trzeci pułk pod wodzą pułkownika Pachuckiego z armji rosyjskiej, stanowiły wraz z pierwszym pułkiem, obecnie już dowodzonym przez pułkownika Korszun-Osmołowskiego, pierwszą dywizję pod ogólną komendą generała Vidallon. Pułkownik Jasiński stał na czele piechoty dywizyjnej. Również wów-



Grupa ochotników żołnierzy rosyjskich, Polaków, z Salonik,
z porucznikiem Piekarskim na czele.

czas obóz koncentracyjny w Silles-le-Guillaume, pod dowództwem kapitana Jagniątkowskiego, przesortowywał ochotników i stał się ze względu na charakter swój i zrozumienie sprawy przez dowódcę jakby macierzystym ośrodkiem i komórką wszystkich oddziałów polskich we Francji. Co do specjalnych rodzajów broni, należy wymienić pierwszą baterję artylerji lekkiej, zorganizowaną przez porucznika Markusa. Rozwinął on w całym słowa tego znaczeniu tę gałąź broni, a jego uczni-

wie w pierwszej dywizji stwierdzali czynem, z jakiej szkoły wyszli.

Już w kwietniu 1918 r. pułkownik Jasiński, chcąc ostatecznie wyrobić pełną odpowiedzialność oficerów, zaczął przydzielać ich, zwłaszcza młodszych, pochodzących z Ameryki, nieznających frontu, do kompanij w pułkach francuskich, dla praktycznego zaznajomienia się z terenem i najnowszymi sposobami walki. Byłem wysłany z pierwszą taką partją. Przydzielono mnie do 87 pułku piechoty francuskiej i tutaj poraz pierwszy spotkałem się oko w oko z „Boszami“. Przebywałem w okopach najwięcej wysuniętej placówki między dwudziestu ośmiu francuskimi żołnierzami, dowodzonymi przez podporucznika Francuza. Nagle wartownik melduje podporucznikowi, że „Bosze“ są w drutach. Podporucznik z zimną krwią i galanterją zapytuje mnie, czy życzylbym sobie widzieć Niemca. Odpowiedziałem żywo, że z największą chęcią. W tej chwili kolega-oficer, wydając instrukcje żołnierzom, zapalił rakietę i polecił rzucać dalsze w kilkunastosekundowym tempie. Zastosowałem się do rozkazu i ujrzałem łby Szwabów. W hełmach, cięli oni zaciekle druty, przypadając co chwilę do ziemi... Rakiety krwawym blaskiem raz po raz oświeślały ich ciemne postacie, czołgające się po ziemi, równocześnie ze strony francuskiej posypało się kilkadziesiąt granatów, popularnie zwanych „les citrons“, zasypując ogniem oddział niemiecki. Podporucznik wystrzelił znów rakietą (sygnał dla artylerji i wskazówka kierunku atakującego wroga). Natychmiast po pierwszej salwie granatów wyskoczyliśmy z okopów, wskakując po drodze do różnych dziur, dla uchronienia się od gradu niemieckich „hand-granatów“, jaki spadł w nasze okopy. Teraz, po sygnale raketowym, w niespełna dwie minuty, ukazały się prześliczne róże szrapneli francuskich,

rozpryskujących się z trzaskiem i wyrzucających raz po raz w powietrze słupy ziemi, skłębając w jeden straszliwy żwał ciała Niemców, druty, kamienie i beton... W ciągu kilkunastu następnych minut pod „barażem“ pocisków artylerji francuskiej zniknął ślad Niemców. Mały, lecz dobrze obmyślany atak nieprzyjacielski na francuską placówkę był właściwie wywiadem, sprytnie zawczasu przez Francuzów odkrytym i unieszkodliwionym — kilkadziesiąt Niemców przytem postradało życie.

Na drugi dzień Francuzi wpadli do okopów niemieckich i, owdładnawszy niemi, sprowadzili jeńców. Niemcy, mszcząc się, zrobili znów wypad w trzy dni później, popierając atak całym bataljonem piechoty i zeszkolonym ogniem artyleryjskim jednej dywizji. Atak był tak straszliwy, iż niemożliwem było wyjść z pod ziemi. Huragan pękającego żelaza świstał na wszystkie strony, do ogłuszającego trzasku dołączał się bezustanny jęk rannych i zabijanych, tworząc piekielny obraz zniszczenia. Muszę tutaj podnieść bohaterską obronę 5-tej kompanji 2-go bataljonu 87 pułku francuskiego. Kompanja ta, widząc wielkie straty sąsiedniej kompanji i dowódcę rannego, opierała się w nadludzki sposób, zapomocą karabinów maszynowych i poszczególnych grup, rzucających granaty, nacierającym gwałtownie grenadje-rom pruskim, — reszta bowiem pułku odcięta była zaporowym ogniem artylerji niemieckiej i w żaden sposób nie mogła przyjść z pomocą swym kompanjom, bohatersko stawiającym czoło.

Próby ćwiczebne dla oficerów, przeprowadzane planowo przed wymarszem pierwszego pułku na linję, udowodniły, że metoda pułkownika Jasińskiego okazała się doskonałą, gdy bowiem dnia 31 maja 1918 r. pułk do-

stał rozkaz wymaszerowania na front, oficerowie byli już otrząskani z ogniem i uświadomieni doskonale o sposobach działania na linii frontu, to też prowadzili swe oddziały do boju tak umiejętnie i z zimną krwią, że podziwiali to nawet starzy instruktorzy francuscy.

Dnia 3 czerwca 1918 r. pułk wyruszył do Verzy, Verzenay, Bouzy i Ambronay, środka Szampanji, niedaleko od fortu Pompel, zajmowanego kilkakrotnie przez Niemców, w pobliżu Reims, gdzie rzeczywistą linię frontu stanowiła mała rzeczka Velle i gdzie w rocznicę ogłoszenia dekretu, t. j. 4 czerwca 1918 r., pułk wszedł, jako jednostka bojowa, do drugiej linii okopów, zmieniając pułk francuski.

W tym czasie dowodziłem siódmą kompanją tego pułku. Po kilkutygodniowym pobycie na tym odcinku, pułk rozdzielono na bataljony, nasz drugi bataljon pod dowództwem majora Haciskiego i jego zastępcy kapitana Piekarskiego wymaszerował do zbiorowego miejsca całego pułku; tutaj był przeznaczony dla bataljonu odcinek Fabre, upamiętniony chwalebnymi czynami całego pułku w lipcu 1918 r. Gdyśmy stanęli na miejscu, otrzymałem rozkaz od dowódcy bataljonu, abym się udał, wraz z porucznikiem Mateckim i porucznikiem Nastalem, do Ambronay, celem objęcia dowództwa nad ósmą kompanją w tak zwanem Centrum Instrukcji pierwszej dywizji, z równoczesnem pełnieniem czynności instruktora szkoły podoficerskiej.

Mianowany komendantem szkoły podoficerskiej w tymże „Centre d'Instruction Divisionnaire“ („C. I. D.“) w le Mont sur Aube, dowiedziałem się, że przyjechał do Paryża dowódca drugiej brygady legjonowej generał Józef Haller. Ucieszyło to ogromnie całą brać Sokolą. Wkrótce, w sierpniu 1918 roku, dowiedzieliśmy się, iż generał Haller ma

być mianowany generałem dywizji i naczelnym wodzem Armji Polskiej we Francji *) i że ma niebawem przyjechać odwiedzić wojsko na froncie. Pamiętam, jak dziś, w południowych godzinach zajechał generał Haller wraz z Romanem Dmowskim i pułkownikiem Vaschoux, szefem sztabu Misji Francusko-Polskiej z adjutantami kapitanem

Akt nominacji generała Józefa Hallera naczelnym wodzem wojsk polskich w dniu 4 października 1918 roku.



J. Rozwadowski, major Fronczak, generał J. Haller, hr. Maurycy Zamoyski, J. Wielowiejski, St. Grabski, St. Kozicki.

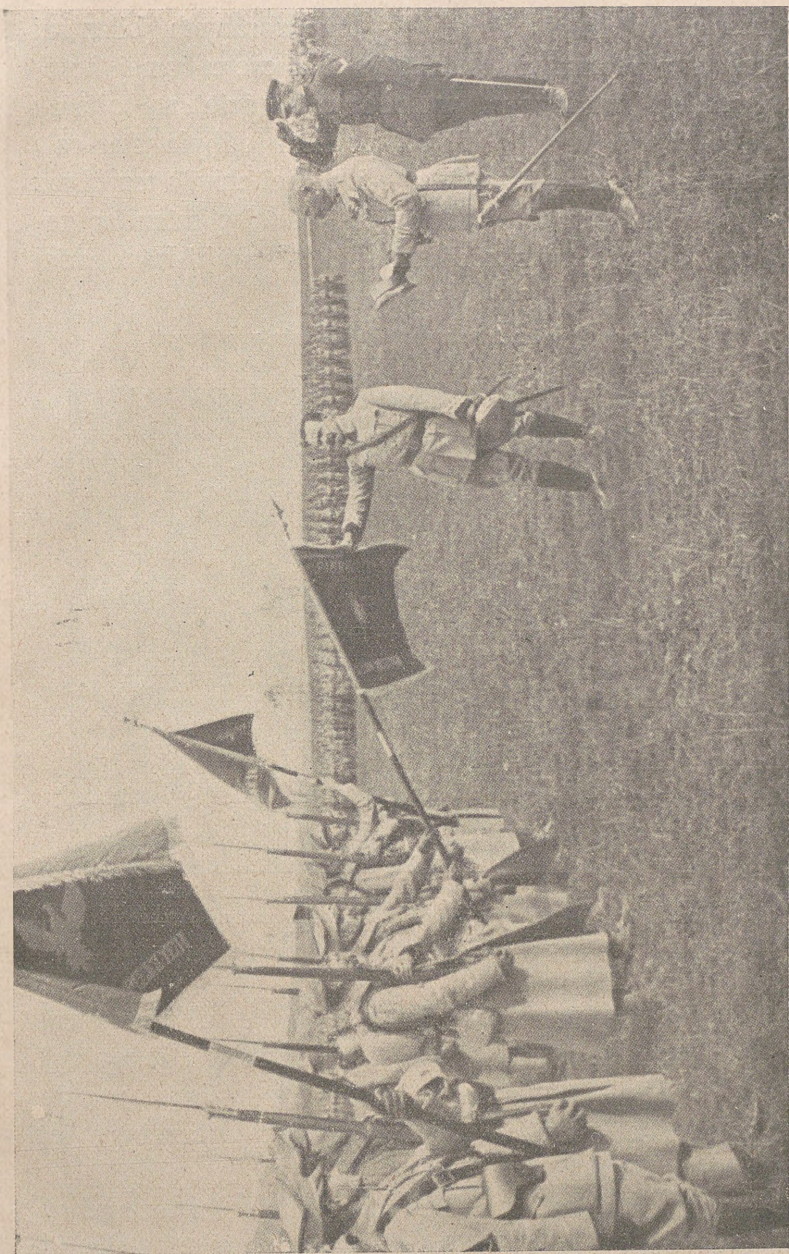
Bajerem i kapitanem Tadeuszem Malinowskim. Miałem zaszczyt pierwszy przedstawić generałowi Hallerowi swoją szkołę podoficerską, jako jedyny oddział, znajdujący się podówczas na miejscu, ponieważ moja ósma kompanja

*) Mianowanie nastąpiło po przedstawieniu władzom francuskim odpowiedniego wniosku przez Komitet Narodowy Polski.

wraz z innymi oddziałami pod dowództwem porucznika Cybulskiego była na ćwiczeniach w polu. Generał Haller wniósł ze sobą bardzo duży zasób optymizmu i wiary w stworzenie narodowej siły zbrojnej we Francji i zachęcał gorąco do usilnej pracy. Tegoż dnia wieczorem wrócił do Paryża.

Dnia 6 października 1918 roku generał Haller złożył przysięgę wojskową jako naczelny wódz Armji Polskiej we Francji. Niedaleko Nancy na polach Lotaryngji zgromadziła się nasza dywizja i rozmaite inne oddziały. Dzień był prześliczny. Jeden z właściwych organizatorów całej manifestacji, major Giżycki, przybył z generałem. Pułkownik Korszun-Osmołowski czytał głośno rotę przysięgi; słowa jej powtarzał dobitnie generał Haller. W uroczystym nastroju i skupieniu słuchały wypreżone pułki; eskadra lotnicza, jak gromada podniebnych orłów, szybowała z szumem w błękitnej przestrzeni...

Jeszcze jednym wypadkiem, odrywającym żołnierzy od codziennych zajęć, była nigdy niezatarta w mej pamięci uroczystość wręczenia sztandaru pierwszemu pułkowi; uroczystość miała miejsce jeszcze przed przybyciem generała Hallera. Szereg miast francuskich, jak Verdun, Paryż, Belfort i inne, ufundowały sztandary dla pułków polskich. Paryż ofiarował sztandar pierwszemu pułkowi strzelców polskich. Na uroczystość pierwszego pułku zgromadzono kilka kompanij tego pułku z delegacjami oficerów z każdej kompanji, oraz cztery kompanje kadrowe; przybył również prezes Komitetu Narodowego Roman Dmowski w asyście delegacji wszystkich armij sprzymierzonych, będących na froncie Szampanji (ogień artylerji niemieckiej nie przeszkodził w wysłaniu poszczególnych delegacyj i odbyciu tej uroczystości).



Przysięga generała Hallera na sztandar.

Podniosła chwila wycisnęła łązy na zoranych bliznami policzkach najstarszych żołnierzy. Na czele ósmej kompanji stałem wpatrzony w podjum, gdzie na ołtarzu odprawiała się Msza polowa, poczem odbyła się cała ceremonia wręczenia sztandaru — i do tej chwili ten obraz tkwi w moich oczach... Dmowski, oddając sztandar generałowi Goureaux, komendantowi IV armji francuskiej

Wręczenie sztandaru 1-mu pułkowi Strzelców pieszych.



R. Dmowski, baron Degrand, generał Gouraud, generał Archinard, major Fronczak, generał Capdepont.

(wręczony następnie pułkownikowi Jasińskiemu), w swoim przemówieniu podkreślił ważność wypadków i zakończył słowami: „Oby ten sztandar prowadził wojsko polskie do zwycięstwa i odzyskania niepodległości Ojczyzny w jej granicach historycznych.“

Innym pułkom wręczał ofiarowane im sztandary sam prezydent Francji Poincare — podobno z nadzwyczaj-

czajną pompą i asystą delegacji wszystkich armji sprzymierzonych — ale ja, przebywając z pierwszym pułkiem, uroczystości owych nie oglądałem.

Po załamaniu się ostatniej ofensywy niemieckiej w Szampanji, na żądanie Komitetu Narodowego, pułk pierwszy wycofano na tyły, ponieważ w odbywających się walkach doznał już był poważnych strat w zabitych oficerach i żołnierzach. Osobliwie krwawą ofiarę złożył pułk 25-go lipca 1918 r. wraz z IV-tą armją francuską w szalonym kontrataku na Niemców. Był to odwet za ich atak na linje francuskie w dniu święta narodowego francuskiego „Bastille“. Tutaj pod St. Hiller drugi bataljon pierwszego pułku polskiego rozbił doszczętnie 66 pułk gwardji pruskiej, zabrał 213 jeńców (między nimi było kilkunastu Polaków) i znaczne łupy w postaci kilkunastu karabinów maszynowych — oraz zajął blisko jeden kilometr nieprzyjacielskiego frontu.

Wkrótce pułk został wycofany do Saffais. Tu rozpoczęło się przygotowywanie już nietylko pierwszego pułku, lecz całej pierwszej dywizji Armji Polskiej we Francji do zajęcia linji bojowej. W owym czasie, na prośbę moją, złożoną u generała Vidallon, otrzymałem rozkaz opuszczenia „Centre d’Instruction Divisionnaire“ (Centrum Instrukcji Dywizyjnej) i objęcia dowództwa dziesiątej kompanji, aby z nią i całą dywizją, dowodzoną przez ukochanego pułkownika Jasińskiego, ruszyć do Wogezów, dla zwolnienia przebywającej w okopach Lotaryngji dywizji amerykańskiej tak zwanej „Wild Cat Division of Tennessee“ (Dywizję Dzikich Kotów ze Stanu Tennessee) i zetknięcie się w tym odcinku z nieprzyjacielem.

Serca żołnierzy polskich ogarnęła wielka radość, tembardziej, gdy widzieli, że po raz pierwszy od 1831 roku w tak okazałej grupie, t. j. w całej dywizji, złożonej z piechoty, artylerji, inżynierji, kawalerji i trenów, występują jako samodzielna polska jednostka bojowa i zajmują znaczny obszar ziemi francuskiej, aby wypędzić z niej wspólnego wroga i dostać się jaknajprędzej do Ojczyzny.

Odcinek naszej dywizji był stosunkowo dosyć spokojny. Tylko od czasu do czasu odbywały się małe pojedynki artylerji. Działania piechoty ograniczały się do drobnych wycieczek — polskie bataljony zmieniały co pewien okres... polskie bataljony... Tak trwało do 5 listopada 1918 roku, do chwili kiedy przyszedł rozkaz oddania odcinka Francuzom. Mówiono po cichu, że dywizja polska z piętnastu dywizjami „sprzymierzonych“ ma być użyta do uderzenia na Metz i do zadania rozstrzygającego ciosu Niemcom, przerwania ich linii, sforsowania Renu i całkowite rozbicie armji niemieckiej miało być ostatecznym celem tych posunięć.

W strasznym napięciu nerwów żołnierz polski oczekiwał udania się na bój z odwiecznym wrogiem. Już 10-go listopada stały na szosach załadowane samochody ciężarowe, dla przetrzucenia całej naszej dywizji na pierwszy ogień. Z każdą godziną ogarniał oficerów i żołnierzy szalony entuzjazm — liczono minuty... nadchodzi ranek... wszystko jest przyszykowane... armja, jak przyczajony tygrys gotuje się do skoku... bokiem szosy pędzi samochód od strony linii niemieckiej i słysząc wykrzyk niepożądany dla żołnierzy polskich: „Armistice est signé — la guerre est finis!“ („rozejm podpisany — wojna jest skończona!“). Francuski oficer w samochodzie wołał radośnie, polski żołnierz zacinał zęby i prze-

klinał tę chwilę — on, przeświadczony o swej własnej sile, miał jedno pragnienie: iść naprzód w tryumfalnym marszu, jako stutysięczna armja polska, przez całe Niemcy do Polski — i nieulega wątpliwości, że tylko ów żołnierz wczuł się w cały sens, w całą istotę, w cały właściwy cel wojny!..

Po zawieszeniu broni przesunięto dywizję do Lunevillu, gdzie przygotowywała się pod sprężystym kierownictwem pułkownika Jasińskiego do walk z Niemcami o opanowanie miast w Polsce — ponieważ przewidywano takie możliwości, mając w pierwszym rzędzie na myśli Gdańsk. Również przypuszczano prawdopodobieństwo walk w otwartem polu.

Co się tyczy mojej osoby — to otrzymałem, w jakieś dwa tygodnie po podpisaniu rozejmu, rozkaz generała Józefa Hallera stawienia się do głównej kwatery sztabu Armji Polskiej w Paryżu, istniejącej od czasu objęcia dowództwa przez tego generała nad Armją Polską we Francji.

3-ci Btn.

Podporucznik SKARZYŃSKI WINCENTY uda się do oficera szczegółów po rozkaz jazdy.

Z rozkazu Generała Hallera winien się stawić niezwłocznie w naczelnem dowództwie Armji Polskiej w Paryżu (15 avenue d'Iéna—16c arrond).

Z rozkazu pułkownika

26—XI—18.

J. Le Doux, adjutant pułku.

Polecono mi przedewszystkiem zorganizować oddziały sztabowe. Wykonałem rozkaz, a wnikając w szczegóły, śledziłem jak pięknie się rozwija organizacja Armji Polskiej. Widziałem jak dalece posunął major Radziwiłł organizację jeńców Polaków we Włoszech, jak dużo wykonał porucznik Kleczkowski, ściągając jeńców fran-



Anna Polna. 1^{sta} z 24 Strzelców Czerwonych.

Pytacia

2. *Ротхар* № 110-1^{ая} *Гуштин* *Средний* *Восток* *С*
2. *Она* 14^{ая} *Соловья* 1918.

[illegible]

»Dziś nie będę w pracy. Chciał być z innymi kolegami i przyjaciółmi i spędzić czas wolny. »

Drugi listić izlazi 2. dan. 14⁰⁰ Sifilopada 1918.
Dobro jutro! Druzi REBELL! Druzi 1⁰⁰ D.S.D.

Joh. H. Hoffmann

Wd/ke

cuskich Polaków z armji niemieckiej w obozach koncentracyjnych we Francji. Tutaj byłem świadkiem powstania drugiej dywizji, zapoznałem się z całokształtem dalszej rekrutacji amerykańskich Polaków, sięgającej już 25,000 ochotników — spostrzegalem, że szeregi rosły jak na drożdżach. Powstawały pułki i dywizja druga, trzecia... potem została zaliczoną jeszcze do Armji Polskiej we Francji i oddana pod komendę generała Józefa Hallera dywizja Żeligowskiego z Odessy (otrzymała numer czwarty), również Syberyjska oznaczona numerem piątym, wreszcie szósta dywizja z Francji — wszystkie skompletowały tak zwaną później popularnie „Armję Hallerowską“.

Serce wzbierało radością, gdy w klubie oficerskim, przy ulicy Bois de Boulogne zaczęli cywile Ignąć do wojskowej braci, powstało gniazdo, do którego zaczęły zlatywać się orły ze wszech stron świata. Raz w raz przyjmowaliśmy nadpływające grupy Murmańczyków, to znów uciekinierów z armji rosyjskiej. Wszystkie te oddziały wpływały w jedno łóżysko — rosnącej Armji Polskiej. Mówiono ciągle, że lądować będziemy w Gdańsku. Linję strategiczną określano Kołobrzegiem, Krzyżem i Piłą. Ach, jakaż była radość przy tego rodzaju rozmowach żołnierskich! Lecz cóż, nieudolna dyplomacja naszych pseudo-mężów stanu, słabość czynników u góry, brak, jakto tylokrotnie, niestety, w naszych dziejach się powtarzało, wiary w siły własne — sparaliżowały całą akcję; czynniki owe bały się postawić sprawy wysłania dywizji polskiej do kraju w sposób kategoryczny, godny potęgi Narodu, ofiar krwi przelanej i wierności idei, — nieuzyskały możności lądowania w Gdańsku, co wielokrotnie było wojsku obiecowane, przegapiono jedyną dogodną chwilę, wyrządzono Polsce nie do darowania

krzywdę!... Kto winę ponosi?... Nie śmiem twierdzić stanowczo... Z tego jednak, co wiem, wnoszę, że niezgodnione posunięcia Komitetu Narodowego z Piłsudskim, tworzenie wielkich posunięć politycznych pod kątem widzenia osób przyjemnych lub nieprzyjemnych dla partji, spowodowały ową klęskę niezajęcia Gdańska, historycznych granic polskich i pozwolenie narzucenia sobie plebiscytu.

Przyglądałem się tej bardzo szkodliwej walce Komitetu Narodowego z rządem Piłsudskiego, znęcaniom i oczernianiom wzajemnym, do tego stopnia posuniętym, że nieraz, jako Polakowi, wstyd mi było wprost słuchać różnych napaści, szczególnie na Naczelnika Państwa, powodowanych najczęściej tylko zaciekłością partyjną.

W czasie tych zmagają i przygotowań do wyjazdu do Polski przybyli do Paryża wysłannicy ówczesnego Naczelnika Państwa Polskiego i Naczelnego Dowódcy Armji Polskiej w Ojczyźnie, Józefa Piłsudskiego, w osobach profesora Dłuskiego, profesora Sujkowskiego, rotmistrza Wieniawy-Długoszewskiego i podpor. Michała Mościckiego, w celu nawiązania stosunków z Komitetem Narodowym. Bardzo głęboko utkwіło mi w pamięci, gdy w swem przemówieniu generał Haller, witając wysłanników z Polski, w imieniu Armji Ochotników Polskich we Francji, już wtedy nietylko z Ameryki, lecz z całego świata zebranych, wzniósł, wbrew intencjom różnych ambitnych polityków, okrzyk: „Niech nam żyje Naczelnik Państwa Polskiego i Naczelnny Wódz Armji Polskiej Józef Piłsudski!“. W okrzyku tym wprost odczułem chwilę cementowania się narodowej siły zbrojnej w jedną wielką bryłę, poddającej się pod dowództwo jednego wodza. Stojącemu obok mnie majorowi Jagniątkowskiemu szepnąłem wówczas z radością: „Jak to dobrze, że Bóg na-

technął naszego generała do wypowiedzenia tego, boć przecie nie o ambicję jednostek tutaj chodzi, lecz o jedyną ostoję wolności Polski, o „gwarantkę” niepodległości naszej — o Polską Siłę Zbrojną! Prawda, Panie Majorze?...” „A to — odszepnął major Jagniątkowski — w tej chwili się ziściło i oby, daj Boże, na wieki trwało!”.

Mijały tygodnie. Przyszedł kwiecień 1919 roku — wówczas zmieniono już plany: postanowiono nieodwołalnie przewóz wojska naszego zamiast na Gdańsk — w pociągach przez Niemcy. Z Polski przybyło wielu oficerów, między nimi major Górecki, dla uzgodnienia z generałem Hallerem technicznych szczegółów. Major zażądał od generała Hallera mego przydziału do przybyłej z kraju „Misji Zakupów” pod przewodnictwem generała Romera.

ARMÉE POLONAISE

ÉTAT MAJOR

15, avenue d'Iéna.

Paris, le 7 Avril 1919.

ORDRE DE SERVICE.

Le Lieutenant SKARZYŃSKI WINCENTY, mis à la disposition de la Mission Militaire Polonaise, est chargé d'organiser le Service des convois des transports du matériel, transportés en Pologne.

Dans le but de recruter le personnel nécessaire, il doit se rendre dans les dépôts de SILLE LE GUILLAUME et DOMFRONT pour choisir des Officiers, Sous-officiers, et soldats nécessaires à l'organisation du service en comptant 1 officier, 1 sous-officier et soldats par train.

La liste nominative du personnel choisi doit être remise par le Lieutenant SKARZYŃSKI à l'E. M. de l'Armée Polonaise et au président de la Mission Militaire Polonaise, Général ROMER.

Gén. J. Haller.

Przykro mi było bardzo pozostawać nadal we Francji, kiedy pierwszych oficerów i żołnierzy, którzy dopomogli w położeniu fundamentu pod dokonane dzieło, transportowano do Ojczyzny, kiedy wszystko, co drogie sercu, było w Polsce — matka, której od piętnastu lat nie wi-

działem, nawet żona, którą, wyjeżdżając do Francji, pozostawiłem w Ameryce i od tej pory nie widziałem, a która zdążyła już przedemną, jako sekretarka komisarza Misji Amerykańskiego Czerwonego Krzyża, przyjechać do Polski. Trudno, rozkaz!... musiałem do tego się zastosować.

Przydzielony przez generała Romera*), jako łącznikowy oficer, do Komisji Likwidacyjnej armji Stanów Zjednoczonych Ameryki we Francji, pracując usilnie i wyzyskując moje stosunki i znajomości z Amerykanami (niektórzy byli mi znajomi jeszcze z czasów służby mojej w armji Stanów Zjedn. Półn. Ameryki podczas kampanji meksykańskiej), mogłem otrzymać dla Polski wszystkie zapasy likwidującego się amerykańskiego obozu w Gevre na podstawie długoterminowego kredytu, między innymi lokomotywy, wagony oraz zapasy dla kilkunastu dywizyj na cztery lata kampanji, jednakowoż, dzięki zaślepieniu

*) Rozkaz, w myśl którego zostałem przydzielony do Komisji Likwidacyjnej:

ARMÉE POLONAISE

Paris, le 9 Avril 1919.

État-Major

1^o Bureau

Section du Personnel

No 1864/1—P

ORDRE DE SERVICE.

Le Lieutenant SKARZYŃSKI Wincenty du Q. G. de l'E.-M. de l'Armée Polonaise est détaché en qualité d'expert à la Commission d'Achats du Général ROMER à la date du 7 Avril 1919.

Le présent ordre tiendra lieu à cet officier de lettre de service dans l'exercice de ses fonctions.

Le Général Haller

Commandant en Chef de l'Armée Polonaise

n/o Les Chef d'État-Major

Perchenes.

DESTINATAIRES:

Commandant du Q. G.

Lieutenant Skarzyński.

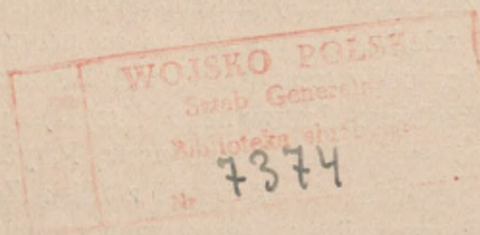
niektórych naszych jednostek polskich, mających rozstrzygający głos w tej sprawie, to, co wtedy równało się darowiźnie prawie, ku zdumieniu memu oraz Amerykanów, zostało odrzucone i jedynie tylko dzięki osobistej inicjatywie generała Romera udało mi się wprost „prawem kaduka“ wysłać kilka pociągów, załadowanych tymi zapasami, do kraju. Z bólem serca dowiedziałem się później, że Amerykanie, chcąc pozbyć się corychlej kłopotów i pragnąc corychlej powrócić do siebie, część tych przedmiotów, dla nas ogromnej wagi, spalili, a część sprzedali handlarzom francuskim, od których małe części rząd polski później odkupywał, płacąc duże sumy.

Po jakimś czasie otrzymałem od generała Romera pozwolenie wyjazdu do Polski; jako kurjer, stanąłem w Warszawie dnia 9 maja 1919 r. Tu, po otrzymaniu od generała Majewskiego w Ministerstwie Spraw Wojskowych (gdzie się zameldowałem) czterdziestoośmiodzinnego urlopu (ten zaledwie wystarczył mi na przywitanie się z żoną, będącą podówczas na Kresach Wschodnich z Misją Amerykańskiego Czerwonego Krzyża), na żądanie gen. Romera, szefa Misji Zakupów w Paryżu, otrzymałem rozkaz wyjazdu do Ameryki z Misją Zakupu Koni, w charakterze oficera łącznikowego pomiędzy tą Misją a władzami amerykańskimi, jak również i w celu zorganizowania transportu. Na czele Misji stanął pułkownik Ostrowski. Po dwumiesięcznym, wprost wbrew mojej woli, przymusowym pobycie w Ameryce, widząc, że dzieją się niedorzeczności, zażądałem od ministra wojny stanowczo, drogą telegraficzną, odwołania mnie do pułku, uprzednio wysyłając mu raport z przyczynami mego żądania.

Wróciłem do Polski we wrześniu 1919 r. i udałem się z powrotem, pełen otuchy, do swego pierwszego

pułku, który w końcu 1919 r. i w 1920 r., będąc częścią składową pierwszej dywizji Armji Polskiej we Francji (obecnie trzynastej dywizji), chlubnie zapisał się w swej działalności w wojnie polsko-rosyjskiej jako 43-ci pułk Strzelców Kresowych. Wiele jest jeszcze wypadków i dużo zajmujących szczegółów, jakieby można skreślić przy opisywaniu bohaterskich czynów pierwszego pułku, owego fundamentu Armji Polskiej we Francji—stanowi to jednak odrębną kartę mego życia...

Wincenty Skarżyński.



WOJSKO POLSKIE

Sztab Generalny Oddz. II.

Biblioteka

Nr. 665



49265/
2

354